

DIALOG pheniben

nr 9 STYCZEŃ-LUTY-MARZEC 2013

☼ **RECYKLING** Kiedy spytałam Eddiego, skąd pochodzą te wszystkie niesamowite przedmioty, powiedział, że większość z terenów rozbiórek i że ogólnie są owocem okolicznego zbieractwa ☼ **FOTOREPORTAŻ** Warzywa i owoce wymagają racjonalnego podejścia. Czasem zepsutą część da się odkroić, a bakterie zabić w procesie obróbki termicznej ☼ **KULTURA** Młodego Serge'a pasjonowała ikonografia religijna. Jako nastolatek lubił słuchać klasycznej opery, chętnie uczył się matematyki i algebry, grał na gitarze i śpiewał. Fascynował go Napoleon, a w jego sypialni wisiała duża reprodukcja portretu Cesarza ☼ **SPOŁECZEŃSTWO** Zamordowany pies? Opowieści o świętym Mikołaju i reniferach na procesie? Kłótnie z żoną? Próba samobójcza? Operacja plastyczna? Żona w ciąży? Kochanki? Skąd ma czerwone ferrari? Będzie paplał, byle tylko o nim mówili ☼ **HISTORIA** Henrike sprawdza opisy na grzbietach zdjęć. A więc „Skopje, rok 1941”. Lub „Rumunia, dzielnica cygańska”. Charakterystyczne motywy: muzycy, żebrak, wróżka. Skąd Henrike wie, że opis jest oryginalny?

☼ **DO KAŻDYCH DRZWI SIĘ ZAPUKUJE**
 ☼ Jolanta Koral, Artur Gutowski **Str. 8-19** ☼ **Tureckie metry kwadratowe** ☼ Tomasz Marcin Wrona **Str. 90-93** ☼ **KOCHAJĄ MNIE, BO JESTEM IDIOTĄ** ☼ Jerzy Celichowski **Str. 96-99** ☼ **2013, Polska** ☼ Michał Siarek **Str. 57-69** ☼ **BÓG, GARNITUR, OJCZYZNA** ☼ Karolina Sulej **Str. 42-47** ☼ **Twarze Carmen** ☼ Karolina Przewrocka

Redaktor naczelna Joanna Talewicz-Kwiatkowska
Koncepcja i opracowanie tematu wiodącego w numerze oraz redakcja tekstów Lidia Ostałowska
Redakcja tekstów Jolanta Koral
Sekretarz redakcji Małgorzata Kołaczek
Korekta Grażyna Kwiek
Koncepcja i produkcja Projekt graficzny, fotoedycja: FUNDACJA OPOWIEDZ TO – PICTURE THIS
Dominique Roynette, Piotr Wójcik
Przygotowanie fotografii do druku Mariusz Glejzer
Drukarnia Colonel, Kraków
Finanse Renata Mucha

Wydawca STOWARZYSZENIE ROMÓW W POLSCE
ul. Berka Joselewicza 5
32-600 Oświęcim
tel./faks: 033 842 69 89
stowarzyszenie@romowie.net
www.stowarzyszenie.romowie.net



Kontakt
www.dialog-pheniben.pl
redakcja@dialog-pheniben.pl
Znajdź nas na Facebooku

Płatne ze środków finansowych Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego



Zadanie jest realizowane dzięki dotacji Ministra Administracji i Cyfryzacji



Człowiek - najlepsza inwestycja!

Projekt współfinansowany ze środków Unii Europejskiej
w ramach Europejskiego Funduszu Społecznego

DIALOG pheniben

Kwartalnik Stowarzyszenia Romów w Polsce

Romska Poczta Małgorzaty Kołaczek 6-7

RECYKLING

- Do każdych drzwi się zapukuje. Jolanta Koral, Artur Gutowski 8-19
- Dwie Bruksle. Sylwia Urbańska, Nick Hannes 20-29
- Król odzysku na Brookynie. Marisa Solomon 30-37
- Remiks, czyli życie po życiu.
Z Mirosławem Filiciakiem rozmawia Magdalena Kicińska 38-41
- Bóg, garnitur, ojczyzna. Karolina Sulej 42-47
- Projektanci, stratedzy i kanibale. Marcin Fabjański 48-51
- Wymiana, czyli handel bez pieniędzy. Renata Bożek 52-55

FOTOREPORTAŻ

2013, Polska. Miejscy łowcy. Michał Siarek 56-69

KULTURA

- Serge Poliakoff, abstrakcja liryczna. Timea Junghaus 70-83
- Autobus pełen przodków.
Z Milijenko Jergovićem rozmawia Agnieszka Wójcińska 84-89
- Tureckie metry kwadratowe. Tomasz Marcin Wrona 90-93
- Dyrygent usidlonny. Iza Michalewicz 94-95

SPOŁECZEŃSTWO

- Kochają mnie, bo jestem idiotą. Jerzy Celichowski 96-99
- Polska tolerancja? To złudzenie. Adam Bulandra 100-105

HISTORIA

Twarze Carmen. Karolina Przewrocka 106-111

TU NAS SZUKAJCIE

Białystok: Kawiarnia Labalbal, ul. Warszawska 21 lok 3; **Gdańsk:** Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Gdańsku, ul. Targ Rakowy 5/6; **Kielce:** Stowarzyszenie Jana Karckiego, ul. Paderewskiego 40; **Nowy Sącz:** Małopolskie Centrum Kultury Sokół, ul. Długosza 3; **Oświęcim:** Centrum Dialogu i Modlitwy, ul. Kolbego 1, Międzynarodowy Dom Spotkań Młodzieży, ul. Legionów 11, Centrum Żydowskie, plac Jana Skarbka 5; **Warszawa:** Dom Spotkań z Historią, ul. Karowa 20, Księgarnia Instytutu Reportażu Wrzenie Świata, ul. Gałczyńskiego 7

 **Dialog-Pheniben to pismo bezpłatne. Możecie wesprzeć kwartalnik, zasilając konto: 67 1240 4155 1111 0010 4015 9291 Nawet niewielka wpłata pomoże nam się rozwijać. Dziękujemy!**



Nieustanny postęp sprawia, że na świecie co roku rośnie produkcja i zużycie tworzyw sztucznych. Wytwarzamy też coraz więcej różnego rodzaju rzeczy. W efekcie później powstają góry śmieci, z którymi nie wiadomo co zrobić. Dlatego coraz głośniejsze ostatnio o kampaniach, które nawołują do zaprzestania nadmiernego gromadzenia różnych, często niepotrzebnych rzeczy i ich bezmyślnego wyrzucania. Zachęca się za to do segregowania i przetwarzania odpadów. W cenie są zdrowa żywność, zdrowy styl życia, recykling. Firmy kosmetyczne i sieci znanych marek odzieżowych zachęcają klientów do oddawania niepotrzebnych i nieużywanych rzeczy. W zamian można otrzymać nowe. Amerykanie na przykład oszaleli na punkcie zdrowego stylu życia. Ekologiczna odzież, torby, papier, butelki. Zaprzeczeniem tej mody na ekologię jest historia Eddiego Hibberta z Nowego Jorku, o którym pisze Marisa Solomon. Jego sklep z przedmiotami z odzysku postrzegany jest jako swoiste śmietnisko. Nie pasuje do krajobrazu „porządnej” ulicy. Podobnie odbierani są Romowie z Podhala, którzy zbierają złom. Mówi się o nich, że są śmieciarzami. Jolanta Koral w tekście „Do każdych drzwi się zapukuje” pisze o romskich złomiarzach z Niemiec. Mimo że na zbieraniu złomu zarabiają duże pieniądze, nie chcą publicznie mówić o tym, czym się zajmują. To obciach. Kolejny stygmat, który potwierdziłby, że są na dole drabiny społecznej. O tym, jak szerokim i pojemnym pojęciem jest recykling i jak wielu dziedzin życia dotyczy, piszemy w nowym numerze „Dialogu-Pheniben”. Mirosław Filipiak z kolei w rozmowie z Magdaleną Kicińską wyjaśnia, czym jest kultura remiksu. Bo przetwarzając i nadając drugie czy kolejne życie można nie tylko rzeczom. Dotyczy to również kultury. Muzyka, filmy, moda - to tylko niektóre z przykładów. Twórcy i artyści wciąż nawiązują do tego, co już było i korzystają z dorobku innych. Odtwarzają przeszłość, nadając jej nowe znaczenie. Idąc tym tropem, uznać można, że kultura Romów jest kulturą remiksu. Od momentu pojawienia się w Europie czerpali z tego, co zastali. Ich muzyka, stroje, a nawet język stały się eklektycznym połączeniem obcych i zmodyfikowanych elementów. To zjawisko nie jest jednostronne. Romska muzyka miksowana jest przez światowych didżejów. Cygańskie spódnice i biżuteria dominują w kolekcjach światowych projektantów mody i zyskują nowy wymiar. Na uwagę zasługuje również rozmowa Agnieszki Wójcińskiej z Milijenkiem Jergovićem, który opowiada o realiach życia w powojennym Zagrzebiu. Dlaczego stolice Demokratycznej Republiki Konga oraz Konga stają się stolicami mody, dowiemy się z artykułu „Bóg, garnitur, ojczyzna” Karoliny Sulej. Polecam również fotoreportaż Michała Siarka „Polska 2013. Miejscy łowcy” o społecznym ruchu Jedzenie Zamiast Bomb i jego polskich aktywistach. Zapraszam do „Dialogu-Pheniben”.

Joanna Talewicz-Kwiatkowska

RECYKLING

Do każdych drzwi
się zapukuje

Zbyszek, mieszkaniec
osady w Saflarach
w punkcie skupu złomu
w Nowym Targu,
7 marca 2013 r.

☼ Człowiek nigdy nie wie, ile zbierze ☼ Bywa, że dziesięć godzin krąży i nic, a czasem do południa przyczepka pełna ☼ Ludzie reagują różnie ☼ Jeden uprzejmy, mówi: wejdźcie, to wam jakieś graty dam, a inny krzyczy: idźcie stąd! ☼ I jest po gadce ☼ Czasami przykro

Jolanta Koral

Fotografie Artur Gutowski

Trafiają się lodówki, ale ciężko sprzedać. Trzeba rozebrać i obdrzeć z plastiku, bo na skupie biorą tylko czysty metal. Roboty mnóstwo, nie opłaca się. Z telewizorami to samo. Dłubanina. Bierze się: aluminium (pięć złotych za kilogram), stal i żelazo (od złotówki do sześciu złotych), mosiądz (kilkanaście złotych), miedź (marzenie - od siedemnastu do dwudziestu trzech złotych).

Wesołości nie ma

Stanisław Kamiński, były romski wójt z Czarnej Góry: - Ludzie tu żyją głównie z pracy fizycznej, bo jak ktoś jest Rom, to już go do wyższych celów nie przyjmą. Nie ma wesołości, ale jakoś dajemy radę. Z Szaflar najwięcej ludzi chodzi na zbieranie, po złomach.

Szaflary, romskie osiedle Zadział. Około dwudziestu rodzin, ponad sto osób. Siedzą tu od 1934 roku, od wielkiej powodzi. W podobnych miejscach osadzano wszystkich górskich Cyganów: na granicach wsi, przy rzece.

Zadział leży nad strumieniem Mały Rogoźnik, na skraju Szaflar. Bliżej stąd stromą drogą do wsi Maruszyna, gdzie są podstawówka i gimnazjum, sklepy i kościół. W Szaflarach zawsze mówiło się o tych z Zadziału: „Cyganie spod Maruszyny”.

Biedniej tu niż w romskim osiedlu na Kamieńcu w Czarnej Górze. Część domów pokryto sidingiem, część pobielono. W remontach pomaga gmina w ramach programu romskiego. Inne obłożone tylko cienką płytą paździerzową, wzdłuż strumienia tłoczą się komórki, budy, szopy.

Zadział nie ma kanalizacji. W gminie mówią, że tu się nie da, bo wszędzie lita skała, ale za to większość domów już ma szamba i łazienki, a nie drewniane latryny na zewnątrz.

Od przystanku autobusowego i kolei na obrzeżach Szaflar prowadzi na osiedle żwirowa droga, podczas roztopów pełna dziur i kałuż. Usypała ją gmina, wielu ludzi z Zadziału miało nawet o to pretensje - lepiej było za te pieniądze więcej domów wyremontować.

Prawie wszystkie rodziny są na zasiłkach z pomocy społecznej.

Patryk, lat 21, mieszka w dużym domu z wysoką podmurówką na skraju osiedla. Jeździ z ojcem na zbieranie złomu, odkąd skończył 16 lat. Zaliczył



Zbrane 29 marca 2013 roku
przez Mietka i Łukasza

tylko gimnazjum w Maruszynie, na dobrą pracę nie ma co liczyć.

- Chodzenie po ludziach i proszenie zaczęło się dlatego, że tu ani w urzędzie ofert pracy nie ma, ani nigdzie. Kto może, wyjeżdża do Anglii. Składa się papiery w angielskim urzędzie pracy i legalnie cię zatrudniają. Na budowach można albo przy poduszkach - układa się je na paletach i owija folią. Albo przy zbiorze i myciu marchewki.

Kilka lat temu był z ojcem w Anglii. Kuzynka wyszła za Turka, który ma sklep spożywczy. Patryk pracował jako pomocnik w jego sklepie, a ojciec na budowach. Po powrocie ojciec przez dwa lata kroił kurczaki w hurtowni drobiu. Firma wpadła w kłopoty, pozwalniali ludzi. Teraz jest bezrobotny i chwyta, co się da.

Złom kilka złotych mu przynosi, ręce i myśli zajmuje.

Prawie jak praca

Stanisław Kamiński: - My, górscy Romowie, potrafimy pracować, bo mamy serce i umysł. Jak się czegoś nauczyliśmy, to się zawsze wywiązywaliśmy z tematu.

Przed wojną Cyganie z Szaflar trudnili się kowalstwem, grali na góralskich weselach i w nowotarskich knajpach (Michał Mirga był słynnym na Podhalu prymistą, sławą cieszył się też Julek Mirga, aresztowany i zamordowany w Auschwitz ponoć za to, że zagrał i zaśpiewał Mazurka Dąbrowskiego).

Po wojnie w Zadziale zaczęło przybywać domów, bo łatwo było dostać pracę. Romowie zatrudniali się w Miejskim Przedsiębiorstwie Gospodarki Komunalnej w Nowym Targu. Zbierali śmiecie, zamiatali ulice. Widok Cyganki z miotłą był powszechnym obrazkiem.



Gdy skończyła się komuna, MPGK się rozpadło, sprzątanie zleca się prywatnym firmom, ulice zamiata się mechanicznie, miotła to przeżytek. W przedsiębiorstwach komunalnych, które pozostały po MPGK, mówią, że nie pracuje tu już ani jeden Rom.

Gospodarz z Czarnej Góry: - W Przedsiębiorstwie Robót Drogowych też dużo ich było, razem z moim tatą robili, ale zakład zlikwidowali. Na kopalniach też siedzieli.

Nie istnieje NZS „Podhale”, znane zakopiańskie zakłady obuwnicze. Byli

Mietek i Łukasz z Szaflar
selekcjonują zebrany złom,
29 marca 2013 r.

tacy, co dwadzieścia i trzydzieści lat tam przepracowali. Przy sprzątanu albo na montażu. Uskładali sobie na renty. Reszta kombinuje: sprzedaż ciuchów z ręki, zmywak, sianokosy, budowy.

Kobiety od kilku pokoleń zmonopolizowały obsługę dworcowych toalet. Marzą o pracy kelnerki, sprzątaczk, własnym stoisku z ciuchami na targu. Mężczyźni o budowie, bo nawet na parę miesięcy można się zatrudnić. To prawie jak stała praca.

Maria Żegleń-Krawiec, dyrektorka Gminnego Ośrodka Pomocy Społecznej



w Nowym Targu: - Od kwietnia, gdy śnieg zejdzie, najczęściej zatrudniają się na budowach, głównie młodzi. Część legalnie, część nie. Własna działalność jest bardzo rzadka. W Nowej Białej Rom ma firmę remontowo-budowlaną. Zatrudnia swoich braci i innych Romów. Są tacy, którzy się trudnią kuśnierstwem - we wsi Ostrowsko Rom otworzył nawet działalność gospodarczą. Jednak większość bierze zasiłki. Z samego złomu wyżyć się nie da. Patryk: - Trzydzieści, góra czterdzieści złotych dziennie można zarobić. Grosze. Człowiek nigdy nie wie, ile zbierze. A jeszcze tak się w kryzysie porobiło, że ludzie sami odstawiają swój złom, bo każdy parę złotych chce mieć. Zbieramy, jak innej pracy nie ma. Ja na przykład całe zeszłe lato pracowałem na budowie, za złom się nie brałem, bo wolę stałą pracę, wiadomo.

Zbrane 29 marca 2013 roku
przez Mietka i Łukasza

Wejście, graty dam

Trzeba mieć auto z przyczepką, żeby złom gdzie wrzucić. Wszystko jedno jakie, byleby miało hak.

Patryk: - Od kolegi Polaka wypożyczamy przyczepkę za opłatą. Romowie wypożyczalni nie mają.

Zaczynają zbierać, jak zejdzie śnieg i ziemia trochę przeschnie.

Patryk: - Zimą samochodem z przyczepką pod górkę nie wjedzie, wykręcić trudno, do rowu strach zlecieć. W zimie to na przykład można sąsiadowi pomóc węgiel do piwnicy wrzucić albo mu z lasu drewno wyciąć i przywieźć, odśnieżyć. Jeździmy zawsze we dwóch, bo łatwiej złom załadować, cofnąć od bramy z przyczepką - ten drugi widzi, ostrzega, żeby nie durknąć. Tata zawsze kuzyna albo kogoś z rodziny sobie weźmie, jak ja akurat nie mogę.

Skup przy dworcu kolejowym w Nowym Targu. Peryferie. Dookoła hurtow-



Szaflary, 28 lutego 2013 r.

nie, magazyny, pracownia haftu maszynowego, warsztaty samochodowe. - Zimą zbieranie złomu siada, bo wszystko przysypane, a nikt Romów do piwnicy, warsztatu czy do garażu nie wpuści - dodaje.

Patryk z ojcem wstają o siódmej rano, jedzą śniadanie, planują, dokąd dziś pojadą, o ósmej ruszają.

- Jak w jednej wsi nic nie ma, to się jedzie dalej, nawet do Nowego Targu. Zapukuje się do każdych drzwi, pyta. Bywa, że dziesięć godzin krążymy i nic nie zbieramy, a czasem już do południa przyczepka pełna. Ludzie reagują różnie. Jeden uprzejmy, mówi: a wejdźcie, to wam jakieś graty dam, a inny krzyczy: nic nie ma, idźcie stąd! I jest po gadce. To nie taka przyjemność zapukować do ludzi. Czasami przykro.

Co się trafia? Puszki aluminiowe po piwie i po farbach, połamane pręty,

kawałki rur stalowych. Coś dużego rzadko. Bywa i tak, że ktoś ma złom albo dużo puszek, ale chce jakieś pieniądze. Dostaje dziesięć, dwadzieścia złotych. Gospodarz z Czarnej Góry: - Przyjeżdżają tu czasem z Szaflar, pytają po domach, grzeczni. Pralkę im dałem, jakiś stary silnik.

Skup złomu na Ceramicznej w Nowym Targu, peryferie: - Bardzo dużo ich tu przychodzi, dlatego część kierujemy do skupu przy dworcu kolejowym. Poza złomem metalowym przynoszą także dużo puszek po piwie. To zajęcie pożyteczne, bo się oczyszcza miasto. Są porządni i uczciwi, ale bywają i tacy, co trochę zbiorą, a trochę ukradną. Jak ktoś im nie da, czekają, aż wyjdzie z domu. Obróci się taki koło chałupy i już czegoś nie ma, cha, cha. Kiedyś z jednego bloku w Nowym Targu zginęły wszystkie metalowe wycieraczki. Legitymujemy wszystkich, spisujemy, co przynoszą, bo potem są kłopoty z policją, sądami. Ludzie przychodzą i skargi składają, że kradzione kupujemy.

Skup przy dworcu: - Były problemy z młodymi ludźmi, ale oni teraz dorosli, zmądrzeli, a „następców” chyba nie mają, cha, cha. Pamiętam taką jedną sprawę: przynieśli sprężarkę z dużej chłodni, zgłosiłem na policję, mieli sprawę w sądzie. Ale co im zrobią? Kary i tak nie mają z czego zapłacić, dostają wyroki w zawieszeniu, niska szkodliwość czynu. W grupach zbierają i przywożą, oni przecież wszystko w grupie robią.

Roman Wolski, rzecznik prasowy Powiatowej Komendy Policji w Nowym Targu, twierdzi, że teraz nie ma problemów z kradzieżami, bo na skupie każdy jest spisywany z dowodu. Pracownicy już są nauczeni, że mają to robić, a jak podejrzewają, że kradzione, muszą zgłosić na policję. To monitorowanie poprawiło sytuację.

Romska geografia

W 2006 roku na zlecenie Stowarzyszenia Romów w Polsce przeprowadzono badanie „Romowie na rynku pracy” pod kierunkiem profesora Lecha Mroza. Raport z badania: „Przełom lat 50. bardzo wyraźnie przyczynił się do wyjścia górskich Romów z ich osad. To wówczas zaczęli wyjeżdżać do Nowej Huty, a potem na Śląsk. Wówczas także zaczęli oswajać się z pracą taką, jaką wykonują nie-Romowie (w firmach transportowych, na budowach, prace chałupnicze dla fabryki obuwia w Nowym Targu i Cepelii). (...) Byli bardziej niż Polska Roma oswojeni z pracą w rozumieniu takim, jakie temu terminowi przypisują nie-Romowie”.

Profesor Lech Mróz: - Dla Polskiej Romy praca powinna zapewniać w miarę dobrą egzystencję w krótkim czasie, żeby można było porozmawiać, spotkać się. A tego nie zapewnia praca od gwizdka do gwizdka, na przykład w hucie. Geografię przemieszczeń Polskiej Romy wyznaczają kontakty ze swoimi, nawet jeśli trzeba jechać do Radomia czy Sopotu, by się spotkać. Na to trzeba mieć pieniądze i czas. A to wpływa na rodzaj zarobkowania i stosunek do pracy. W przypadku Romów górskich ta geografia układa się inaczej: w obrębie najwyżej kilku osad. Poza tym nie funkcjonuje pamięć wędrowania. Cyganie górscy byli stale związani ze stroną niecygańską - zasiedziali, „swoi”, otoczenie ich znało, pracowali dla miejscowych gospodarzy, choć za kilka kartofli czy kawałek słoniny. Musieli dostosować się do ich wymagań, bo czynności w gospodarstwie musiały być wykonane od razu i szybko. Dlatego łatwiej było Romom górskim wyjechać do budowania Huty Lenina czy pracować dla fabryk w Nowym Targu. To była droga przyjmowania standardów dotyczących pracy.



Zebrane 29 marca 2013 roku przez Mietka i Łukasza

Do Bułgarii bym nie pojechał

Dla Polskiej Romy wiele zajęć, którymi trudnią się górscy Romowie, jest złamaniem tabu. Zawody nieczyste: lekarz, pielęgniarz, hydraulik, śmieciarz. Stanisław Kamiński: - A dla nas każda praca uszlachetnia, czy on zmiata, czy kwiatki sadzi. Żadna nie hańbi. Dla mężczyzny nie jest ujmą pomaganie w domu. Kobiety też pracują, normalna rzecz. I podejście do kobiet inne jest niż w Polskiej Romie. U nas nie siedzą w kuchni, tylko razem przy stole - zawsze ten hamulec jest, nawet w wypowiedzi, bo jak sami mężczyźni są, to zawsze się wywiązują jakieś niepoważne rzeczy.

Patryk: - Jak ktoś by mi zarzucił, że zakazany zawód wykonuję, tobym zapytał: czy wolisz biedzić, czy pracować? Prosta sprawa.

Polska Roma nie uważa zbierania złomu za zajęcie zakazane, jeśli nie zdobywa się go po ruinach czy wysypiskach.

Kuzyni Tadeusza z Oświęcimia (Polska Roma) rozkręcili w Niemczech złomiarzki interes. - Nie słyszałem, żeby ktoś z naszych zbierał złom w Polsce, ale po pierwsze dlatego, że w powszechnym odbiorze złomiarze są na samym dole drabiny społecznej - tę pracę wykonują głównie bezdomni. Wiadomo, jak zły jest odbiór Romów w Polsce. Kto by chciał narażać się na jeszcze większą dyskryminację, wybierając tak lekceważone zajęcie? A po drugie: tu złomiarstwo się po prostu nie opłaca, a na Zachodzie ciągle tak.

Profesor Lech Mróz: - Polskie skupy nagminnie przyjmują kradzione rzeczy, bo jeśli nabywa się kilkaset kilogramów cennego metalu, to opłaca się w razie wpadki zapłacić kilkaset złotych mandatu, byle policja się odcepiała. Niemieckie ściśle przestrzegają rejestrowania sprzedających. Legalizacja tej profesji sprawia, że wygląda inaczej niż w Polsce: staje się po prostu jedną z możliwości

zarobkowych, bez niebezpieczeństwa skalania. Odbiera się złom od gospodarzy, ma stałych dostawców - bierze się „czystą rzecz”. Znamienne jest to, że Polska Roma nie jeździ na przykład do Bułgarii, gdzie jest masa upadłych zakładów, bo tam standardy etyczne i dopuszczalność zarobkowania są inne niż w Europie.

Tadek: - Do Bułgarii na złom zdecydowanie bym nie pojechał.

Nie naraziłby się też na pośmiewisko, zbierając butelki.

Romowie zbierają surowce wtórne w całej Europie. W Bułgarii i Rumunii, gdzie wiele jeszcze zrujnowanych fabryk i ruin po rolniczych kolektywach, żyją z tego całe wsie. W krajach skandynawskich kwitnie także handel butelkami zwrotnymi. W Kopenhadze na przykład wprowadzono bardzo koryzystny system: wrzuca się butelkę do automatu, wyskakuje kwitek, kasa wypłaca gotówkę. Nie trzeba się tłumaczyć, nie trzeba znać języka. Opłaca się przyjechać „na butelki” nawet na trzy, cztery miesiące.

Z Niemiec do Danii

Tadek: - Na zachodzie Europy Romowie powszechnie zbierają złom. Jeśli ktoś z niemieckich Sinti się wzbogacił, to wiadomo, że od tego zaczął. Polska Roma też się tym trudni.

Po upadku NRD złomiarzy przyciągały przede wszystkim wschodnie landy - pozostałości po kombinatach rolnych i spółdzielniach produkcyjnych były prawdziwą skarbnicą.

Interes zaczyna się tak samo jak w Polsce: jeżdżenie od domu do domu.

Kilka osób składa się na wynajęcie busa (niektóre mają specjalne wyciągarki, osiem ton wejdzie), a potem dzielą się utargiem. W busie można zmieścić urobek z całego dnia. Albo ktoś kupuje busa i zbiera kilka osób. Zarobi i na busie, i na złomie.

Pracuje się w parach, czasem z pracownikiem do pomocy, któremu się coś odpala.

Punkty skupu są niemieckie, Tadek nie słyszał, żeby jakiś Rom otworzył własny. To zrozumiałe: zbieranie złomu nie jest zarejestrowaną działalnością - to ważne dla każdego, kto bierze niemiecki zasiłek. Jakby władze wykryły, że zarabia, zasiłek by cofnęły. A skup musi być legalny: trzeba się legitymować.

- Jak ludzie zobaczyli, że to taki świetny interes, zaczęli się lepiej organizować: załatwiali sobie stałych odbiorców. Gospodarz gromadził złom na podwórku, dzwonił, zbieracz przyjeżdżał, płacił Niemcowi - ale mniej niż dostawał w skupie. Obie strony były zadowolone, a jeszcze gospodarz się cieszył, że podwórko posprzątane. Przyjmował Romów z otwartymi rękami.

Złomiarze jeździli także na place budów. Dniówka wychodziła nawet sto euro.

Tadek: - Ludzie ciągle myślą: a co to za biznes? Jeszcze jaki! I siedem tysięcy euro na czysto można było w miesiąc zarobić.

Kilka lat temu złoty interes się skończył: Niemcy zorientowali się, że mogą coś zarobić, i sami zaczęli odstawiać swój złom. No i coraz więcej zbieraczy, a coraz mniej towaru.

Tadek: - Dużo Romów przeprowadziło się wtedy pod duńską granicę - zbierają złom w Danii, sprzedają w Niemczech. Policja nie kontroluje, co i skąd kto wiezie, sprawdza tylko, czy nie przekracza się ładowności samochodu.

Wstaje się rano - szósta, siódma - tankuje samochód i w drogę. Jedzie się na-



Miedź uzyskana po rozebraniu urządzeń elektrycznych i wypaleniu kabli.
Szafflary, 29 marca 2013 r.

wet sto pięćdziesiąt, dwieście kilometrów. Coraz dalej, żeby coś znaleźć. Czasem i trzy dni trzeba jeździć.

Trzeci etap złomiarzkiego interesu: jak się ktoś dorobi, zaczyna skupować od zbieraczy i sprzedawać drożej.

Tadek: - Znam w Niemczech wielkiego hurtownika, który zaczynał od zbierania, a teraz skupuje. Jest bardzo bogaty, ale nie porzucił branży, bo się świetnie na tym zna, ma swoje źródła. Z takiego interesu się nie rezygnuje. Patryk z Zadziału nie ma teraz żadnej pracy. - Mam nadzieję, że jak śnieg zjedzie, to kolega zadzwoni, coś mi znajdzie. Sam też zacznę szukać. Będzie, jak Bóg da.

Jolanta Koral

Dwie Brukszele

☼ Teresa nie zauważyła, żeby ze śmieciarek wyskakiwał ktoś inny niż Arabowie lub Afrykańczycy.

☼ To synowie i wnuki imigrantów, drugie, trzecie, a nawet czwarte pokolenie od urodzenia przypisane do odpadów

Sylwia Urbańska

Fotografie Nick Hannes

Fotografie zostały wykonane w 2009 roku w Brukseli.

Pod Polską Misją Katolicką na Rue Jourdan chłopcy i baby z miasteczek i wsi śpią na torbach, jedzą, handlują. Setki bezrobotnych podjeżdżają autobusami prawie pod same drzwi. Niech ksiądz pomoże znaleźć pracę. Niech ksiądz pozwoli przenocować. Dziś i jutro też. My rodacy! Był początek lat 90. Kilkuosobową Misję w brukselskiej dzielnicy Saint-Gilles zalewały skargi od władz miasta i mieszkańców. Co się dzieje na Rue Jourdan? Proszę coś zrobić z koczującymi ludźmi! Ilu było wtedy Polaków w Brukseli? Co najmniej 15, a może i 25 tysięcy. W całej Belgii nawet 50 tysięcy. Ale dokładnie nie wie nikt. Dla statystyk byli niewidzialni.

Miejscówka w piwnicy

Z dworca kolejowego Gare du Nord Teresa, błądząc po Brukseli, trafiła przez przypadek do zakrystii flamandzkiego kościoła. Komuś zrobiło się szkoda trzydziestokilkuletniej, zbyt zmęczonej jak na swój wiek drobnej szatynki, kurczowo ściskającej małą walizkę. Kupił bilet na tramwaj, włożył Teresie w rękę, na kartce naszkicował, jak ma dojechać na Misję, o której było już głośno w Brukseli.

Polski ksiądz pozwolił przenocować na fotelu w korytarzu przed kaplicą, ale tylko jedną noc. Podobno zrobił wyjątek, kiedy powiedziała, że w Polsce została sama z trójką małych dzieci. Bez środków do życia. Mąż najpierw stracił pracę w białostockiej fabryce. Potem zaczął pić, schamiał, zubożał, odszedł. Przez rok Teresa pukała do różnych drzwi. Po zawodówce ukończonej w gastronomiku w ofertach się nie przebiera. Chałupnictwo, czyli lepienie piero-



W jednym z zamkniętych kompleksów sportowych w Brukseli.

Mieszkanie wybudowane z kartonów przez imigranta nielegalnie przebywającego w Belgii.

Fot. AFP/East News

gów, czasem szycie i strzyżenie sąsiadów, jednak pieniędzy z dorywczych fuch było za mało. Poważniejsi pracodawcy bali się zatrudniać samotną wielodzietną matkę, która do pracy na zmiany dojeżdżałaby z pobliskiej wsi. O alimenty Teresa prosić w sądzie nie chciała. Uniosła się trochę dumą, ale też gdzieś na dnie serca tliła się nadzieja, że wszystko się ułoży i mąż wróci na prostą drogę.

Teresę na Brukselę namówiła matka. Obiecała, że rzuci pracę, zaopiekuje się dziećmi i utrzyma je ze skromnej emerytury do czasu, aż Teresa zarobi w Belgii. Całe Podlasie stawało wtedy na nogi dzięki wyjazdom.

Tej pierwszej nocy w fotelu nie przespała. Za bardzo tęskniła za najmłodszą czteroletnią Zuzią, dziewięcioletnią Anką i siedemnastoletnią Magdą. Następnego dnia zaczepili ją budowlańcy. Swoi. Zaoferowali wolną miejscówkę na materacu w nielegalnie wynajętej piwnicy. Tym razem na tydzień. Teresa nie zwierzyła się matce w liście, że śpi z ośmioma osobami. I że pierwszej



nocy ktoś z rodaków ją okradł. Cała nielegalna imigrancka Bruksela śpiąca po piwnicach i na poddaszach o tych warunkach dyskretnie milczała. Napisała za to do matki, że w tej Belgii to same święte Marie chodzą po ulicach. Takie same jak na naszych obrazach z Jezuskiem. Teresa nie wiedziała, że spowite w chusty żony migrantów z krajów arabskich, z północnej Afryki - Maroka, Algierii, Turcji, Tunezji, Egiptu - zaczęły tu przybywać wcześniej niż Polki. Nie wiedziała też, że owe Marie to wyznawczynie Allaha. No bo skąd miała wiedzieć? Świeża, z daleka, ze wsi katolickiej po horyzont.

Mohammedowie z Brukseli

Bruksela już od dawna była przystanią różnych nacji. Belgowie łaknęli taniej siły roboczej równie gorąco, co ziaren kongijskiego kakaowca do produkcji swojego skarbu narodowego - pralinek. Brukselskie mieszczaństwo patrzy w przyszłość. Inwestuje w edukację, podróże, kariery. Kto chciałby ryć ziemię pod brukselskie metro? Albo zamiatać chodniki? Wymyślono, by chętne i tanie „ręce do pracy” ściągnąć z krajów Trzeciego Świata. To miały być męskie ręce, a ich właścicieli po wykonaniu roboty zamierzano odesłać do domu. Podobnie robili zamożni sąsiedzi - Niemcy, Francuzi, Brytyjczycy.

Mamadou Balde, bezrobotny imigrant z Gwinei, przebywa nielegalnie w Belgii od 13 lat. Mieszka w szatni zamkniętego ośrodka sportowego w Brukseli.
Fot. AFP/East News

Enzo, nielegalny imigrant, przybył do Belgii z Włoch. Mieszka w hali sportowej zamkniętego ośrodka rekreacyjnego w Belgii.
Fot. AFP/East News



Francuskojęzyczni mieszkańcy Maghrebu wydali się Belgom w sam raz. Kiedy po drugiej wojnie światowej Europa Zachodnia przeżywała boom gospodarczy, ściągnięto stamtąd kilkaset tysięcy robotników do ciężkiej pracy fizycznej w walońskich kopalniach węgla, fabrykach przemysłu ciężkiego i hutach stali. Ale też do wiercenia ziemi pod brukselskie metro budowane od lat 60. Tymczasem przyszła recesja, Belgię w latach 70. dotknęła plaga bezrobocia. Ale mimo kryzysu imigranci wcale nie chcieli wracać do pasania owiec w Maroku, Algierii, Tunezji czy Turcji. Gdy skończyły się prace legalne i zamknięto część walońskich kopalń, jechali do miast i podejmowali się mało prestiżowych zajęć, które nie pasowały miejscowym. Na przykład przy śmieciach. Jednocześnie walczyli o legalny pobyt i prawo do łączenia rodzin. Przemycali żony, rodziców. Urodziły im się dzieci, ich dzieci z kolei ściągały do Belgii swoje żony. Kiedy rząd w 1985 roku zgodził się na łączenie rodzin, symbolicznie uznając, iż „ręce do pracy” to też ludzie, napłynęła ogromna fala arabskiej imigracji. Dziś w stolicy Unii Europejskiej najczęściej nadawane imię to Mohammed, bo w samej milionowej Brukseli mieszka legalnie już 160 tysięcy spośród 370 tysięcy belgijskich muzułmanów. Cztery pokolenia imigrantów żyją wśród Belgów. Niby razem, ale osobno,

bo wielokulturowa Bruksela ma swoje getta, etniczne zamieszki, spalone samochody i konflikty o chusty w szkołach. Do pięciu z jej dziewiętnastu dzielnic, gdzie liczba wyznawców islamu jest największa, boją się zapuszczać autochtoni. Jednak Polacy nie boją się tutaj mieszkać. Te najbiedniejsze dzielnice - Anderlecht, Molenbeek, Bruksela-Centrum, Saint-Josse i Schaerbeek - ulokowały się w centrum i w zachodniej części Brukseli, w pobliżu kanału rzeki Senne.

Głodny Wschód po czarnych z Ruandy

Z czarnymi jak ziarno kakaowca imigrantami z Konga, ze wstrząsanej masakrami Ruandy i Burundi było trochę inaczej. Imperialna Belgia bogaciła się dzięki swojemu afrykańskiemu Kongu. To kraj osiem razy większy od europejskiego i po stokroć żyźniejszy. Król Belgii Leopold II nabył do niego prawa w 1885 roku. Dzięki kości słoniowej, kopalinom i kauczukowi sprzedawanym na całym świecie Belgia wypiękniała architektonicznie, zakwitła secesją i art nouveau. Ale miała na rękach krew milionów niewolników zadreżonych w kolonialnych kopalniach diamentów, miedzi i złota czy na plantacjach kauczuku. Symbolizuje ją chicotte - narzędzie nadzorców, długi na dwa metry pejcz z szorstkiej skóry hipopotama, którego uderzenie przecinało skórę aż do kości. Zamęczono nim na śmierć wielu czarnych niewolników. Statystyki mówią nawet o 5-10 milionach mieszkańców wiosek zamordowanych przez plantatorów i nadzorców za niewywiązywanie się z nieustannie podwyższanych kontyngentów. Piekło Konga najlepiej opisał Joseph Conrad w „Jądrze ciemności”, analizowali Hanna Arendt i Mark Twain. Egzemplarz pejcza chicotte wisi w gablocie Muzeum Afryki w małym Tervuren, które król Belgii Leopold II kazał wybudować i połączyć z Brukselą szeroką dziesięciokilometrową reprezentacyjną aleją. Rzecz jasna za pieniądze z kolonii. Potem Belgia w 1964 roku zwróciła Kongu wolność, kilkakrotnie przeproszała, cierpienia rekompensowała finansowo. Ale opuściła Afrykę w wielkiej panice. Podobno kiedy siepacze generała Mobutu Sese Seko wycinali białych w pień, w kilka dni pospiesznie ewakuowano 35 tysięcy Belgów zaledwie pięcioma Boeingami 707. Belgowie nie przygotowali porzucanego kraju do nowego życia i to być może najbardziej dzisiaj im ciąży na sumieniu.

Dzisiaj Belgia stara się przyjmować uchodźców z byłych kolonii, którym brakuje chleba, ale nie wojen. W centrum Brukseli, nieopodal Pałacu Królewskiego, rozłożyła się dzielnica kongijska zwana Matonge. Kojarzy się z gwarną dzielnicą-matką w Kinszasie. Podobno już 12 tysięcy Kongijczyków zdobyło obywatelstwo w Belgii. A potem nadjechały te głodne autobusy ze Wschodu, z nowej, kapitalistycznej Polski, Ukrainy.

Krzątanina niewidzialnych

Kiedy Teresa znalazła się w piwnicy, jeszcze nie wiedziała, że trafiła na dobre do drugiej, gorszej Brukseli. Bo nie jest tajemnicą, że Bruksela zrobiła się dwie. W zasadzie żyć bez siebie nie mogą. Ta kolorowa i nielegalna, rezerwuar taniej siły roboczej, spała w wilgotnych fundamentach kamienic lub na poddaszach bez windy. Wegetowała. Ta lepsza, wytworniejsza, dbała o podtrzymanie tętna roślinności. Światowe i europejskie instytucje rozrastają się jak ciasto drożdżowe. Dzisiaj liczba eurokratów i doradców waha się między 40 a 170 tysięcy, bo Bruksela jest globalną stolicą dyplomacji. Za profesjonalnym stylem życia menedżerów, urzędników NATO, Unii Europejskiej, ambasad



Hala do gry w squasha w zamkniętym ośrodku sportowym w Brukseli. Mieszka tu Alain, nielegalny imigrant z Ghany.

Fot. AFP/East News

czy ulokowanych tu międzynarodowych organizacji pozarządowych kryje się krzątanina niewidzialnych nóg i rąk. Ktoś musiał i nadal musi sprzątać rezydencje. Oczyszczać ulice. Krochmalic pościel hotelową. Wycierać dziecięce zasmarkane nosy. Gotować, prać, prasować. A to wszystko za pensję kilka, a nawet kilkanaście razy mniejszą od wynagrodzenia przeciętnego urzędnika. Sprzątaczką miesięcznie może dziś zarobić tysiąc euro, początkujący tłumacz unijny dostaje na rękę ponad cztery tysiące, niewiele ponad średnią krajową. Natomiast szanowany eurokrata do pensji, która wynosi średnio kilkanaście tysięcy euro, dostaje liczne dodatki - przedszkolne i edukacyjne na dzieci, za rozłąkę, fundusz reprezentacyjny itd. To z ich powodu w Brukseli toczy się podziemne życie tanich, migrujących, obcych.

Wtedy, w latach 90., młodziutki ksiądz, który właśnie wrócił z Konga, częściej odbierał w Misji telefony od arystokratek potrzebujących służby niż od wiernych. Szacowny emerytowany Belg szukał schludnej Polki do sprzątania. Flamancka lekarka kogoś zaufanego do przewijania staruszki matki, ktoś inny do dziecka. Do rezydencji, do ogrodów. Pomocnika murarza. Stróża na farmę. Chodzili, przyglądali się, wybierali. Jak na targowisku. Teresę zaczepiła francuska rodzina. Warunki omawiali na migi: kąpiel, wikt i kieszon-



kowe za opiekę nad dziećmi i domem. Trochę rysowali na kartce. Tak zaczęło się na dobre jej życie poza piwnicą, ale wciąż podziemne.

Filipinki usługowe, Polki z posłannictwem

W podziemnym życiu dekada po dekadzie ustalały się hierarchie sprzątaczy. Rzekomo każdemu według kompetencji, a faktycznie według koloru skóry, płci, religii. Kobiety? Do podłóg, do garów. Do dzieci, starych i chorych. Przynajmniej te miastowe i białe. Bo te wsiołowe, tęgie i krzepkie - na farmy, do wiader, do pielęgnacji ogrodów, do szorowania fabryczek i chłodni z mięsem. A kolorowe - raczej do mopa niż do dzieci. Bo nie wiadomo, czy można takiej zaufać. Obca kultura, afrykańska, a może też uprzedzenia do byłego kolonizatora? Kolorowe sprzątają więc sklepy, centra handlowe, hale, fabryki. A że wielkie powierzchnie czyści się nocą, zwykle zaczynają późnym wieczorem, kiedy ruch klientów zamiera.

Imigranci Adedayo Folowosele i Florence Benga z Nigerii czekają na decyzję władz dotyczącą legalizacji ich pobytu w Belgii. Mieszkają w starym, zawilgoconym domu w dzielnicy Molenbeek w Brukseli. Adedayo pracuje na czarno, dostaje 5 euro za godzinę.

Fot. AFP/East News

Białe sprzątają domy, ale też nie uniknęły podziałów. Eurokraci polecają sobie pomoce z Filipin. Bo mówią po angielsku, bo są wykształcone, usługowe. Bo rzadko mogą jeździć do swojego kraju, więc są oddane zabiegającym pracodawcom. Swoją markę wysprzątały też sobie Polki. Mówi się, że są dokładniejsze od Portugalek, punktualne, a sprzątanie traktują prawie jak moralną misję. Najtrudniej Brazylijkom i Ukrainkom. Nie mają prawa pobytu, a zatem praw pracowniczych, więc polecane są jako najtańsze.

Teresa opuściła francuską rodzinę po roku, kiedy знаła już na tyle język, aby wynająć mieszkanie i pracować na własną rękę. Chciała, by dzieci mogły ją odwiedzać. Zarabiała tysiąc euro. Połowa szła na wynajem obscurnego poddasza i skromne życie w Brukseli, połowa na utrzymanie córek. Chodziła na targi warzywne, zbierała pogubione przez handlarzy marchwie i ziemniaki. Oszczędzała na jedzeniu, wysyłała dzieciom. Dwa razy w roku jeździła do nich na święta, dwa razy one przyjeżdżały do Brukseli. Ukrywały się wtedy przed policją, przed deportacją, ale też zachowywały ostrożność w dzielnicach Schaerbeek i Saint-Gilles. Miejsca, w których mieszkali Polacy, były niebezpieczne, a włamania i napady na nielegalne pomoce domowe (organizowane także przez rodaków) na porządku dziennym. Dziewczynki też chodziły z matką sprzątać.

W 2004 roku zalegalizowano usługi domowe. Powstały biura pośrednictwa Titrès-Services, które świadczącym oferowały prawa pracownicze, a zatrudniającym ulgi podatkowe. Szacowano, że z podziemia wyjdzie 25 tysięcy pracowników, tymczasem w 2008 roku biura zarejestrowały już 90 tysięcy kobiet. Ale Titrès-Services nie regulują pracy niań, ochrona dotyczy tylko sprzątania. Podziały się utrwały i nadal nie wiadomo, ile imigrantek pracuje na czarno.

Cuda po euro za sztukę

Armia kobiet podobnych Teresie spotyka się na tych samych szlakach. O szóstej rano w metrze. Przed domami, gdy o odpowiedniej porze wystawiają posegregowane wory ze śmieciami pracodawców. Teresa nie zauważyła, żeby ze śmieciarek wyskakiwał ktoś inny niż Arabowie lub Afrykańczycy. To synowie i wnuki imigrantów, drugie, trzecie, a nawet czwarte pokolenie od urodzenia przypisane do odpadów. Ich szeregi czasem zasilają nowi, którym udaje się zdobyć legalny pobyt w ośrodkach dla uchodźców. Co roku ubiega się o azyl od 10 do 40 tysięcy ludzi, najczęściej z państw szarpanych konfliktami wojennymi - Gwinei, Afganistanu, Konga, Syrii, Senegalu, Kamerunu, Rosji (Czeczeńcy), ale też konfliktami etnicznymi, jak Albania czy Kosowo. Zgodę na pobyt dostaje co ósmy, co piąty. Sprzątaczy Teresa spotyka też na targach staroci. Chodzi tam w jedyny wolny dzień, w niedzielę - po mszy w katedrze Notre Dame de la Chapelle. To rozrywka Teresy, jej kino, teatr, książka. Inne imigrantki też czekają na targ cały tydzień.

Cuda w szarych kartonach po euro za sztukę. Garnki, talerzyki, tace, torebki, ubrania. Drewniane figurki kaczek, metalowe kandelabry, porcelanowe laleczki, które Belgijki ustawiają na kominkach. Zużyte, ale wciąż dobre chodniczki. Teresa wie, co kupić córkom. Dużo podpatruje, kiedy sprząta zamożne domy. A na targu jest przecież to samo, tylko tanio, za kilka euro, bo arabscy chłopcy, Afrykańczycy i bezdomni jak mrówki oczyszczają miasto z materii osieroconej, niechcianej. Niektórzy chodzą po mieście i wypatrują przed-



miotów wystawianych przed domy. Śmieciarze wybierają z worków drobiazgi warte choć centa. Są też tacy, którzy pod szyldem firmy sprzątaj domy po zmarłych staruszkach. I z tym wszystkim na pchli targ, na plac du Jeu de Balle, w starej robotniczej dzielnicy Marolles, kiedyś znanej z krewkiego temperamentu mieszkańców, dziś zamieszkaney przede wszystkim przez imigrantów z Afryki Północnej. Bruksela nie tylko tworzy hierarchie sprzątaczy, reguluje też pierwszeństwo konsumpcji. Ludzie od śmieci tworzą drugi obieg, są na samym końcu kolejki.

Teresa wstrzymuje się z zakupami do czternastej, kiedy targ się zwiija. Wtedy ceny idą w dół, a z kartonów można coś wyszperać.

W poniedziałek wraca ze swoich marzeń o pięknym domu i rodzinie do ścierania obcego kurzu. Buduje mur obojętności. Dopiero koło środy znowu szoruje kibel z podniesioną głową. Ale świadomość wyrwy w życiorysie staje się coraz trudniejsza. Teresa obliczyła, że dwadzieścia lat to 74 tysiące godzin nielegalnego ścierania, skrobienia, mycia, woskowania. Kilkanaście godzin na dobę, sześć, a nawet siedem dni w tygodniu. Zarabia na dwa domy, trzy córki i ich naukę. Sama.

Bezsilność, rozpacz dopada ją najmocniej pod Polską Misją Katolicką lub

Ahmed, nielegalny imigrant z Maroka, żyje w Belgii od 5 lat. Mieszka w opuszczonym hotelu Coyote.

Fot. AFP/East News



Lello Lo Riggio z Dżibuti wraz z żoną i sześciorgiem dzieci mieszka w opuszczonym mieszkaniu w dzielnicy Molenbeek w Brukseli. Od przeszło dwóch lat szuka lepszego miejsca do zamieszkania.

Fot. AFP/East News

kościółem Notre Dame de la Chapelle, gdzie spoczywają prochy malarza Piotra Bruegla, a Polacy windują brukselskie statystyki uczestnictwa w mszach. Teresa spotyka tam znajome kobiety, rozmowy kręcą się wokół sprzątanania. Tematem są też śluby, dzieci, choroby i romanse pracodawców. Sprzątaczkę żyją życiem kilku zatrudniających je rodzin. Dla Teresy cała prywatność to wypadki na targ i jeden krótki romans z Afrykańczykiem, imigrantem. Nie pozwoliła sobie na długi. Przez córki, była tylko dla nich. Dzisiaj nie ma już koczowiska na Rue Jourdan ani wyścielonych materacami piwnic, bo władze Brukseli kazały je zlikwidować. Ale autobusy dowożą kolejne pokolenia sprzątaczek i sprzątaczy wprost do agencji pomocy domowych albo pod domy pracodawców. Tylko Polaków jest w Brukseli około 150 tysięcy.

W ostatnim liście matka napisała: dzieci są już dorosłe, niezależne. Czas wrócić, żyć!

Ale Teresa pracuje legalnie od niedawna. Ujawniła się dopiero w 2009 roku, kiedy Belgia formalnie otworzyła rynek pracy dla Polaków.

Sklada teraz na emeryturę. I na kawalerkę w Polsce, bo córki z rodzinami i wnukami zajęły mieszkanie. Ma 56 lat i wreszcie myśli o sobie. Nie wraca, zarabia na starość.

Sylwia Urbańska

Król odzysku na Brooklynie

☀️ Kawalki biednych dzielnic, które wcześniej uważano za odpady, teraz zyskały nowy społeczny urok i wartość. ☀️ Wtórne użytkowanie podkreśla znaczenie rasowo nacechowanych interakcji

Marisa Solomon

Eddie Hibbert - nazywany przez okolicznych mieszkańców królem odzysku, czy też ocalania - jest właścicielem Swap Shopu, składu wymiany położonego na rogu alej Green i Grand na nowojorskim Brooklynie. Sklep Eddiego to istny labirynt pełen porzuconych przedmiotów. Główne pomieszczenie przypomina magazyn, znaleźć w nim można wszystko: od filarów, futryn i ram okiennych po lampy i płyty długogrające. Trochę sklep, trochę skład rupieci, przez jednych postrzegany jest jako antykwariat, przez innych - jako śmietnisko.

Biznes Eddiego, położony w samym środku dzielnicy Clinton Hill, oparł się wielu próbom wykupienia przez inwestorów; przetrwał też burzliwe narkotykowe lata 90. Projekty urbanistyczne i rosnąca liczba mieszkańców z klasy średniej stopniowo zmieniły tu skład ludności i przekształciły ubogą i zamieszkaną głównie przez mniejszości dzielnicę w modną okolicę pełną „interesujących ludzi” i budynków z historycznym klimatem. Można by nawet twierdzić, że ta przemiana - gentryfikacja - niosła ze sobą pewną siłę, która obsadziła mniejszości, a czasem też i śmieci, i rupiecie, w roli elementów „fajnej” lokalnej specyfiki. Miejsce, gdzie dawniej żyli ci właśnie ludzie - Afroamerykanie, Jamajczycy, Trynidadczycy - teraz stało się polem spotkań czarnych i białych, klasy średniej i tych, którzy się do niej nie zaliczają, śmieci i skarbów.

Biznes Eddiego, położony w samym środku dzielnicy Clinton Hill, oparł się wielu próbom wykupienia przez inwestorów; przetrwał też burzliwe narkotykowe lata 90. Projekty urbanistyczne i rosnąca liczba mieszkańców z klasy średniej stopniowo zmieniły tu skład ludności i przekształciły ubogą i zamieszkaną głównie przez mniejszości dzielnicę w modną okolicę pełną „interesujących ludzi” i budynków z historycznym klimatem. Można by nawet twierdzić, że ta przemiana - gentryfikacja - niosła ze sobą pewną siłę, która obsadziła mniejszości, a czasem też i śmieci, i rupiecie, w roli elementów „fajnej” lokalnej specyfiki. Miejsce, gdzie dawniej żyli ci właśnie ludzie - Afroamerykanie, Jamajczycy, Trynidadczycy - teraz stało się polem spotkań czarnych i białych, klasy średniej i tych, którzy się do niej nie zaliczają, śmieci i skarbów.

skorzystał na przekształceniach rasowej i klasowej demografii. Patrzy na te procesy przez pryzmat różnic rasowych i jego perspektywa może pomóc nam dostrzec płynność definicji śmieci.

Rasa to złożona idea i rozwikłać ją niełatwo, głównie dlatego, że nie pokrywa się w sposób jasny z rzeczywistością. Ja na przykład często używam terminów „czarny” i „biały” zamiast posługiwać się takimi pojęciami jak „Afroamerykanie” czy „osoby pochodzenia europejskiego”. Robię tak głównie dlatego, że określenie Afroamerykanie, sugerujące potomków amerykańskich niewolników, byłoby nieściśle w stosunku do mieszkańców dzielnicy. Niektórzy są Afroamerykanami, ale wielu pochodzi z Karaibów - czasem w drugim pokoleniu nadal identyfikują się z miejscem pochodzenia, a czasem niedługo po przyjeździe widzą się jako Afroamerykanie. Jest tu też wielu białych. Jednak ich tożsamości bogate są w niuanse, których nie może oddać termin „europejskie pochodzenie”. Pomimo całej tej złożoności różnice klasowe utrzymują kategorię białych jako uprzywilejowanych, a czarnych jako tych przywilejów pozbawionych. W przestrzeni dzielnicy biali to często osoby z klasy średniej, a czarni, choć też nieraz należą do tej grupy, z reguły odrzucają takie różnicowanie. Stany Zjednoczone mają długą historię segregacji, którą nadal widać w nieustannie zmieniającym się krajobrazie Nowego Jorku. Napięte relacje rasowe przyczyniają się do przeświadczenia, że ubodzy czarni tracą miejsce do mieszkania za sprawą białej (i nie tylko) klasy średniej. Zmian tych nie da się jednak wyjaśnić prostym faktem wprowadzania się białych do czarnej dzielnicy. Składa się na to wiele czynników - w tym też planowanie miejskie, które promuje gentryfikację jako formę zarządzania przestrzenią.

O rasowych i klasowych napięciach można opowiedzieć, spoglądając na twórczą zdolność ludzi i ich sposoby zarządzania przestrzenią, w jakiej żyją. Swap Shop jest właśnie takim miejscem, z którego zobaczyć można rolę relacji rasowych w ruchu przedmiotów - i vice versa: udział przedmiotów w kształtowaniu logiki rasy. Przedmioty mogą być śmieciami, materiałem wtórnego użycia albo wartościowymi starociami i vintage'owymi skarbami. Ale to, jak zostaje im przypisany status wartościowych lub bezwartościowych, jest też funkcją głęboko nacechowanych rasowo narracji zakorzenionych w materialnej strukturze samej dzielnicy. Pytanie, czym są śmieci, jest więc zarazem pytaniem o to, komu przypada prawo do formułowania tej definicji.

Marisa Solomon

Doktorantka w Instytucie Antropologii w nowojorskiej New School for Social Research i stypendystka National Science Foundation; przygotowuje rozprawę „Letting Trash Talk: Garbage in the order of People”, w której stara się pokazać związki między rasą a zarządzaniem odpadami w Nowym Jorku.

Śmieci czy skarby?

Eddie, którego sklep jest stałym elementem okolicy od prawie 20 lat, to czarnoskóry mężczyzna w średnim wieku o szorstkich dłoniach i w grubych okularach. Prawie zawsze ma na sobie flanelową koszulę i beżową baseballówkę z niebieskim daszkiem. Pracownicy sklepu to często bezdomni czarnoskórzy mężczyźni - „przyjaciele dzielnicy”, jak nazywa ich Eddie - którzy pomagają mu zbierać przedmioty. Choć ten opis przedstawia Eddiego jako względnie niegroźne zjawisko, deweloperzy, nowi mieszkańcy i śmieciarze widzą w nim problem. I on, i jego sklep stoją w jawnym kontraście wobec estetyki okolicy. Eddie działa w sojuszu z rdzennymi mieszkańcami sąsiedniej Bedford-Stuyvesant, zwanej w skrócie Bed-Stuy. Często wręcz mówi o swoim składzie jako o sposobie na ocalenie dzielnicy i, jak sama to zaobserwowałam, rozgrywania relacji rasowych i klasowych.

Według Eddiego miejsce, gdzie znajduje się jego sklep, kiedyś było częścią Bed-Stuy. Jednak poszczególne osiedla Brooklynu często przybierają różne kształty, w zależności od tego, kogo zapytać. Sprawdziłam więc oficjalne fakty: mapy pokazują, że Eddie nie do końca ma rację. Chociaż faktycznie różnie wyznaczają zasięg dzielnic, to na wszystkich granica między Clinton Hill a Bed-Stuy przebiega wzdłuż alei Classona, kilka przecznic na wschód od sklepu.



Ale i tak granica ma istotne znaczenie. Bed-Stuy i Clinton Hill co innego znaczą, uosabiają inne statusy społeczne, rasy i klasy. Historycznie rzecz biorąc, Bed-Stuy było dzielnicą czarnoskórej klasy robotniczej i niższej średniej, Clinton Hill z kolei ma większy udział białej klasy średniej, który ciągle rośnie. Bed-Stuy jest brudne i zaśmiecone, Clinton Hill - czyste i pełne sklepów ze zdrową żywnością. Ale i ta różnica często się zaciera, bo granica jest płynna i obejmuje coraz to inną ludność i inne rzeczy. Podobnie jak większość granic, a zwłaszcza granic pojęć, tak i ta jest nieszczelna, pełna przecieków. Granica ta jest często przywoływana, kiedy mowa o zmianach, przede wszystkim gentryfikacji, które zaczęły się najpierw w Clinton Hill, potem też w Bed-Stuy. Ta granica między czystością a brudem, „naszymi” i „tamnymi”, jest nieszczelna, zmienia znaczeniowe ramy tożsamości dzielnic i różnic między czarnym i białym, biedą a odzyskiem i ocalaniem przedmiotów, między śmieciami a skarbami.

Kiedy spytałam Eddiego, skąd pochodzą te wszystkie niesamowite przedmioty, powiedział, że większość z terenów rozbiórek i że ogólnie są owocem okolicznego zbieractwa. „Rozbierają nasze domy” - powiedział mi Eddie, wskazując najpierw na swoją, a potem na moją rękę i na wspólny nam

obojgu kolor skóry. „Oni budują nowe domy, nasze osiedla padają. I nie ma miejsca dla tych wszystkich rzeczy, tak jak nie ma miejsca dla nas. Musimy działać twórczo, wszystkiego zabrać nie mogą”.

Domy, o których mówi Eddie, to głównie brownstone’y, kiedyś zamieszkiwane przez ubogich imigrantów i czarnoskóre rodziny. Ale lokatorów wysiedlono albo się wynieśli, budynki opustoszały, a teraz niektóre burzy się, aby stworzyć miejsce dla deweloperów budujących drogie kondominia dla zamożniejszych poszukujących nowych, modnych okolic. Ponieważ Eddie ma swoje koneksje, chodzi na zebrania rady miasta; ponieważ mieszkał tu całe życie, po prostu wie, gdzie szykują się zmiany i gdzie szukać odpadów i porzuconych sprzętów. Ale nie wszystkie jego towary to rupiecie. Przynajmniej nie wszystkie są podobnej proveniencji. Wiele osób zostawia meble, zastawę oraz inne sprzęty i elementy wystroju wewnątrz na ulicach do zbiórki śmieci albo po prostu żeby ludzie mogli sobie je wziąć. Ponieważ rasowy i klasowy profil dzielnicy zmienia się szybko, wśród sprzętów znajdują się też niemal nowe meble z Ikei czy elementy wystroju z bardziej eleganckiego Pier 1 Imports. Szczątki starego Brooklynu przyprawione elementami nowego.

Skarby...?

W sklepie Eddiego najwięcej jest chyba drzwi. I o te drzwi zaczęłam go wypytywać. Wiele wie o swoich sprzętach i opowiada o nich z taką pasją, że przechadzając się w tej niezwyklej scenerii, trudno nie być poruszonym. Kiedy patrzy na przedmioty i opowiada o nich - wplatając w opowieść historię dzielnicy - w rzeczy wstępuje życie. Chyba nie spotkałam nikogo, kto byłby bliższy „żywotnemu materializmowi”. Kiedy zaczął mówić, szybko zorientowałam się, że doświadczam fragmentów mieszkań tych wszystkich ludzi; mieszkań zniszczonych, odebranych, opuszczonych domów. Jest w tych kawałkach materii żywotne drżenie, którego łatwo nie dostrzec, jeśli nie jest się zainteresowanym minionym życiem tych przedmiotów i ich możliwym życiem przyszłym. Materiał przemawia: „28 na 98 cali” ... podchodzimy do pary wąskich, zielonych drzwi o mosiężnych klamkach. To drzwi o rzadkim rozmiarze, część przeszłości Brooklynu, ale coraz bardziej także część jego przyszłości: vintage brownstone, oryginalny rządowy dom „z epoki”, obiekt pożądania zamożnych nowojorczyków. W dodatku „Nieruchomości” „New York Timesa” czytamy o tym trendzie:

„- Gusta się zmieniają, po części wraz ze zmianami pokoleniowymi - mówi David Hecht, brooklyński architekt, który zmodernizował swój rządowy dom w Clinton Hill. - Współczesna wrażliwość jest bardziej swobodna, nieformalna, płynna. A ponieważ budynki rządowe z natury są »elastyczne«, dobrze przyjmują takie zmiany. To część historycznej ciągłości - nie odejście od niej, ale kolejny obrót jej koła”.

Jak to się dzieje, że drzwi przemawiają, tego być może nie uda mi się tu wyjaśnić, ale jak to się dzieje, że to słyszymy, to kwestia reartykulacji starego w nowe. Oczywiście w tym przypadku słyszący to właściciele brownstone’ów, klasa ludzi, którzy posiadają umiejętność pożądania „modernizacji”, ale mieszkający tu od urodzenia Eddie też potrafi słuchać tego trendu, i to między innymi dlatego jego sklep nadal stoi. Swap Shop umiał czerpać ko-

rzyści z powiększającej się rynkowej niszy, zwłaszcza wokół brownstone’ów. Okolica nie tylko się modernizuje, ale też zmienia kolor - być może dlatego, że modernizacja jest głęboko powiązana z różnicami klasowymi; modernizować znaczy też: zmieniać kolor.

Przyglądałam się białej parze sześćdziesięcioparolatków, jak targowali się z Eddie. Oboje ubrani w obcisłe dzinsy, drogie buty, obwieszający światu swoje poglądy polityczne za pośrednictwem naklejek „Równość dla wszystkich” na ekologicznie metalowych butelkach na wodę, idealnie wpasowani w estetykę Nowego Brooklynu. Szukali nowych drzwi do swojego brownstone’a, który właśnie odnawiali. Eddie sprzedał im tę parę drzwi za 900 dolarów. Takie unikatowe drzwi, zebrane w czasach rozbiórek okolicznych domów, są dziś odzyskiwane, recyklowane i wtórnie użyte jako elementy „vintage” w odnawianej przez klasę średnią okolicy.

Ocalenie „oryginalnych” drzwi stało się nową praktyką - łatwo ją postrzegać jako część szerszego trendu „wtórnego użytku” - wśród tych, którzy remontują, czy to aby samemu zamieszkać, czy też by sprzedać albo wynajmować. W ten sposób sklep, chociaż zgodnie z deklaracjami Eddiego służy ocaleniu getta, stał się też magnesem przyciągającym łowców antyków poszukujących specyficznego klimatu, którego nie kupi się w domach handlowych. Te ocalone fragmenty getta, stając się elementami współczesnej mantry recyklingu i wtórnego użytku, zyskują ogromną moc wytwórczą. Jak na ironię te same przedmioty - kawałki biednych dzielnic - które wcześniej uważano za odpady, teraz zyskały nowy społeczny urok i wartość. Wtórne użytkowanie podkreśla znaczenie rasowo nacechowanych interakcji. Ze względu na swój materialny wymiar staje się dialogiem nie tylko na temat rasy czy szerszych zmian zachodzących w dzielnicy, ale też na poziomie symbolicznym. Negocjowanie rasy jest w tym przypadku związane z negocjowaniem materialnej wartości rzeczy.

Dla wielu osób - zmarginalizowanych czarnoskórych i imigrantów, w tym też bezdomnych pracujących w sklepie - interes Eddiego jest źródłem środków do życia; do życia samego w sobie kojarzonego ze śmieciami.

Jednak śmieci?

Swap Shop, ulokowany kiedyś w brudnej i zaśmieconej okolicy, położony jest dziś w takim Brooklynie, o jakim wielu marzy: pełnym sztuki, różnorodności, wygód. Deweloperzy poszukujący w okolicy przestrzeni pod inwestycje niezmiennie postrzegają sklep jako niezagospodarowaną działkę wręcz proszącą się o rozwój i postęp:

„- To marnowanie miejsca - mówi inwestor na rynku nieruchomości, który niedawno odwiedził sklep. Wszedł do środka, rozejrzał się z dezaprobatą, rzucił okiem na sterty starych, odbarwionych drzwi przed sklepem - zniszczone ornamenty futryn, rozpadające się elementy schodów, zardzewiałe metalowe pręty w środku - i na miejscu złożył ofertę. - Ile pan z tego wyciąga tygodniowo? - zapytał inwestor. - Wykupię pana. I zamiast tego otworzę tu bar”.

Eddie wzbrania się, uparcie twierdząc, że ma do odegrania ważną rolę w społeczności, która chce i zasługuje na to, by przetrwać. Nie była to pierwsza oferta, jaką Eddie otrzymał, i z pewnością nie ostatnia. Były też projekty

rozwoju i modernizacji oraz programy estetyzacji miasta. Granica między Bed-Stuy a Clinton Hill przesuwana się - dla wielu mieszkańców zmiany w okolicznych witrynach i w składzie rasowym są równoznaczne z przemierzaniem lub kurczeniem się Bed-Stuy.

Nazwą, pod którą programy te często są reklamowane, jest rewitalizacja. Bed-Stuy widziało niejedno takie przedsięwzięcie, w tym Program Rewitalizacji Fulton Street, kontrowersyjny plan zagospodarowania przestrzennego rozpoczęty w latach 80. XX wieku, który rozlał się na okoliczne przecznice, takie jak Franklin czy Putnam (gdzie niedawno powstały bar rozrósł się ostatnio i wchłonął niesławny Putnam Candy Store - sklep ze słodyczami handlujący jednak niewątpliwie zgoła innym towarem). Projekt, który sprowadził do dzielnicy duże sieciowe sklepy i kondominia, spowodował też gwałtowny wzrost czynszów, co z kolei zaczęło wypychać stąd rodziny o niskich dochodach, imigrantów i drobny biznes czarnoskórych mieszkańców. Programy te wniosły też ze sobą nowy miejski kodeks zarządzania odpadkami, którego złamanie, takie jak niewłaściwa zbiórka i składowanie śmieci, może skutkować niezwykle dotkliwymi karami. Choć z jednej strony oznaczało to, że w niektórych miejscach śmieci objęte zostałyby czyjąś odpowiedzialnością, znaczyło to też, że składowiska rupieci i złomu, dzikie parkingi, na których zalegają stare samochody, oraz sklepy takie jak biznes Eddiego znajdują się w niepewnym położeniu, balansując w oczach miejskich służb zarządzania odpadami na granicy definicji „śmieci”. Choć Eddiego udawało się dotąd bronić przed większością kar i mandatów, wiele już ich dostał i część z nich zdecydował się zapłacić, żeby ratować sklep. Dla niektórych bowiem śmieci to po prostu śmieci, nie skarby. Projekty doprowadzające ulice do „czystości” czynią to jednak kosztem wielu ludzi, których pozbawiają źródła utrzymania.

Sukces Projektu Rewitalizacji Fulton Street i innych jemu podobnych spowodował, że wartość nieruchomości w niektórych częściach Bed-Stuy wzrosła od lat 80. dwukrotnie. Wraz z postępującym stąpieniem się Bed-Stuy i Clinton Hill rzeczy takie jak drzwi, budynki mieszkalne, a nawet dzikie złomowiska, które niegdyś postrzegano jako „śmieci”, dziś okazują się wartościowe. Ale nie wszystkich rzeczy to dotyczy. Śmieci to rzecz ambiwalentna i dużo zależy od tego, czy definiuje je kodeks municypalny, osoba żyjąca w biedzie, czy też ktoś z brooklyńskiej klasy średniej. Niektórzy ludzie i niektóre przedmioty zmieniają miejsce, zmieniają się granice dzielnic, rasa i klasa negocjowane są za pośrednictwem materialności pod hasłami rewitalizacji czy estetyzacji. Choć Bed-Stuy jest nadal w większości czarną dzielnicą, szybko się to zmienia, zwłaszcza od kiedy proekologiczny ruch promujący wtórne użytkowanie pomaga przekształcić tożsamość Bed-stuy z kojarzonej z zaśmieceniem na godną ocalenia.

Ocalić (przez) infrastrukturę

Pisząc ten tekst, próbuję rozmyślać szereg różnic, w tym rzekomą granicę między Bed-Stuy a Clinton Hill. Robię to dlatego, że dokładnie to samo czyni sam Swap Shop: mać ów podział, sprawia, że można być w obydwu rejonach jednocześnie i doświadczać skutków owego „rozlewania się” za pośrednictwem materialności, która ożywia historie zmieniających się rasowych, politycznych i społeczno-ekonomicznych przypadków pewnej dzielnicy.

Bibliografia:

Bed Stuy (Map 1). N.d. Bedford Stuyvesant, New York: Brooklyn Community District 3.

Bed Stuy (Map 2) N.d. Bedford Stuyvesant, New York: Bedford Stuyvesant Redevelopment Plan.

Bed Stuy (Map 3) N.d. Department of Housing and Preservation.

Bennett, Jane. 2010. *Vibrant Matter: a Political Ecology of Things*. Durham: Duke University Press.

Morris, C. Zawadi. 2009. *One Man's Trash*. *The Local Fort Greene / Clinton Hill Blog of The New York Times*, published May 19. Accessed at <http://www.nytimes.com>

Rosenblum, Constance 2012. *The Brownstone Revisionist*. *The New York Times*, Real Estate section, published November 9. Accessed at <http://www.nytimes.com>

Ścisłe rzecz biorąc, Nowy Jork dzielnic ma pięć – Bronx, Brooklyn, Manhattan, Queens i Staten Island – z których każda dzieli się na wiele okolic, czy „sąsiedztw” (*neighborhoods*), często wyraźnie rozgraniczonych i o bardzo odmiennym charakterze, w tym także charakterze etnicznym. W niniejszym artykule, słowa „dzielnica” używam właśnie w tym znaczeniu. Clinton Hill jest jedną z 51 tak rozumianych „dzielnic” Brooklynu (przyp. tłum.).

„Brownstone”, zwłaszcza w kontekście Brooklynu, to budynek, o fasadzie z charakterystycznego czerwono-brunatnego piaskowca i charakterystycznej formie architektonicznej – dom rzędowy, często z przełomu XIX. i XX. wieku, zazwyczaj trzypiętrowy, ze schodami od frontu prowadzącym do głównego wejścia na pierwsze piętro (przyp. tłum.).

W książce *Vibrant Matter* [„Drgająca materia”] politolożka Jane Bennett proponuje nowy sposób opisu rzeczywistości i bycia w niej, który nie opiera się na dychotomiach takich jak podmiot/przedmiot, ludzkie/nie-ludzkie itd., a zamiast tego postrzega świat jako złożony z żywej materii. Ciało to złożone struktury powstałe w wyniku upływu czasu i zmiennych okoliczności. Zamiast koncepcji świata nieustannie stanowiącej podziały i rozróżnienia, proponuje ona perspektywę żywotnego materializmu, ujmującą wszystko jako jednolitą „witalną” materię.

Rosenblum, Constance 2012. *The Brownstone Revisionist*. *The New York Times*, November 9. Ruelle, Gwen 2011.

Morris, C. Zawadi. 2009. *One Man's Trash*. *The Local-Fort Green Blog -NYTimes.com*, May 19.

Dla mnie jest to historia o ocaleniu infrastruktury i przez infrastrukturę. To ocalenie może nam na różne sposoby dużo powiedzieć o tym, jak nadaje się ludziom tożsamość, a także o tym, jak definiuje się przedmioty i przez czyje przechodzą ręce. Dzisiejsze przemiany wokół Swap Shopu stanowią część nieustannego „rozwoju” Nowego Jorku. Infrastruktura, choć często rozumiana jako stricte materialne kanały umożliwiające przepływ rzeczy - czy to informacji, czy ścieków, czy kapitału - może też być potraktowana konceptualnie jako sposób myślenia za pomocą obiegu zarazem materialnych i społecznych. Przykład sklepu Eddiego, sprzedawane w nim przedmioty i ludzie, którzy tam pracują i kupują, pokazuje, że „ocalenie getta” może być formą zarządzania społecznego, swego rodzaju infrastrukturą, w ramach której negocjowanie rozróżnień rasowych, klasowych oraz granic między dzielnicami odbywa się za pośrednictwem materialności. Być może ocalenie jest sposobem utrzymywania „getta” przy życiu i sprzeciwem wobec stwierdzenia, że jest tylko śmietniskiem; może jest to forma walki o bycie widzialnym wśród szybkich zmian zachodzących w miejscach takich jak Nowy Jork; może jest to próba sięgnięcia po władzę za pomocą zielonej retoryki ery ekologii, recyklingu i wtórnego użytku; może jest to kombinacja tego wszystkiego, a może żadna z tych rzeczy. Tak czy inaczej, jest to część opowieści o zmianie i rozwoju.

Kiedy powstawał Swap Shop, było to mało obiecujące przedsięwzięcie faceta z sąsiedztwa gnieźdzące się w opuszczonym budynku, który, jak powiedział mi Eddie, na początku nie miał nawet dachu! Wobec przestępczości, okazjonalnych zamieszek i handlu narkotykami otwarcie sklepu na tym właśnie rogu zdawało się pomysłem skazanym na porażkę. A jednak wraz ze zmianami w okolicy miejsce to zaczęło współtworzyć strukturę relacji w sąsiedztwie, łącząc i rozłączając tożsamości, ale też jako materializacja pewnej historii, która mimo to nie przestaje krążyć w obiegu rzeczy - czy to śmieci, czy też skarbów.

Marisa Solomon

Z angielskiego przełożył Grzegorz Sokół

Tytuł i lead od redakcji

Remiks, czyli życie po życiu

☀ W świecie kulturowej nadpobudliwości musimy nieustannie być online. ☀ I niekiedy dobrą formą komunikowania się jest cytowanie czy zawłaszczenie cudzej treści - mówi **dr Mirosław Filiciak** w rozmowie z Magdaleną Kicińską

Prace Marcela Duchampa czy Andy'ego Warhola, murale Banksy'ego, plakat wyborczy z 1989 roku z Garym Cooperem...

- To remiksy.

„Przyszłość zawsze korzysta z przeszłości” - mówi manifest zwolenników wolnego dostępu do dóbr kultury, który pojawia się też w kultowym filmie Brutta Taylora „Kultura remiksu” z 2008 roku.

- Bo to, co nazywamy dorobkiem czy dziedzictwem kulturowym, w dużej mierze polega na przetwarzaniu, cytowaniu, sięganiu po różne konwencje i zderzaniu ich ze sobą. Remiksem były już na przykład tworzone przez kobiety w wiktoriańskiej Anglii opowieści nawiązujące do ich ulubionych literackich dzieł. Dziś zaliczylibyśmy je do nurtu fan fiction. Uprawiamy taki kulturowy recykling od zawsze. Pojęcie „kultura remiksu” odnosi się więc nie tylko do świata nowoczesnych technologii i mediów cyfrowych, które oczywiście związane są z nim bardzo mocno. Mówi się wręcz, że teraz funkcjonujemy w świecie wiecznych wersji beta, tak łatwy jest przepływ treści, a wszystkie gotowe do przetwarzania. I przetwarza się je, czyli remiksuje.

Skąd w nas ta potrzeba? Dlaczego chętniej przerabiamy gotowe produkty kultury zamiast tworzyć coś od podstaw?

- A co to znaczy „od podstaw”? Czy tworzenie odbywa się w próżni? Twórca zawsze nasiąka tym, co przeczytał, zobaczył i przeżył. Każdy twórca - klasyczny i tworzący remiks. Dziś tego, czym nasiąkamy, jest strasznie dużo. Funkcjonujemy w świecie kulturowej nadpobudliwości, musimy nieustannie być online. I niekiedy dobrą formą komunikowania się jest cytowanie czy

zawłaszczenie cudzej treści - bo to skraca czas, bo kontekst jest powszechnie znany.

Czyli wszyscy coś miksujemy?

- Jeszcze kilka lat temu wydawało się, że rewolucja mediów cyfrowych i Web 2.0 polega na tym, że skoro dostęp do komputera i internetu staje się coraz powszechniejszy, to wszyscy mogą się nim swobodnie posługiwać. I tworzyć. Ale publikujący, filmujący, miksujący muzykę to ciągle mniejszość. Natomiast cała masa redystrybuuje, komentuje, udostępnia, niejako bierze na siebie funkcję kuratora. Sposób redystrybucji sprawia, że te same treści przekazywane w różnych kontekstach i różnymi kanałami znaczą zupełnie co innego. Czym innym jest film oglądany w kinie w wyniku zachęty prasowego krytyka, a czym innym ten sam oglądany w sieci dzięki linkowi od znajomego.

To dystrybucja buduje publiczność i wytwarza społeczną różnicę.

Jeszcze dwadzieścia lat temu remiks kojarzył się tylko z muzyką.

- Hasło „remiks”, zanim zaczęło się rozplątać znaczeniowo, dotyczyło właśnie muzyki. A remiks utworu był narzędziem w ręku wykluczonych - kulturowo, społecznie czy ekonomicznie. Z jednej strony Jamajka i kultura soundsystemów, z drugiej - Nowy Jork, a w nim gejowskie dyskoteki i remiksy dyskotekowe. I mniejszość afroamerykańska z Brooklynu przechwytywała muzykę mainstreamu, by przerabiać ją na własny użytek. Początkowo remiksy należały do kontrkultury. Ale rozwój mediów cyfrowych sprawił, że intensywnym remiksowaniem zajęli się biali mężczyźni - czyli przedstawiciele uprzywilejowanej, a nie wykluczonej grupy. Dziś remiks rozprzestrzenił się na wszelkie obszary aktywności.

Jakie poza muzyką?

- Jeszcze do niedawna wydawało mi się, że zamknięte, precyzyjne komunikaty można produkować tylko w oparciu o tekst. Tymczasem dla moich studentów zdjęcie czy film to już również powszechne źródło komunikacji. Memy, obrazki ze stron takich jak Demotywatory konwencjonalizują się tak silnie, że same stanowią treść. Nie potrzebują tekstu. W przypadku obrazów ważnym momentem było pojawienie się Photoshopa, a potem innych programów do obróbki zdjęć. Remiksuje się też filmy, które dzięki YouTube'owi uspołecznily nie tylko treść, ale i to, co wokół nich się dzieje: jak je komentujemy, jak przerabiamy coś już wcześniej przerobionego. Takie życie po życiu jest istotą remiksu. Dziś mamy raczej równorzędne nisze, w obrębie których powstają różne remiksy, zamiast jakiegoś dominującego trendu.

Kto robi te wszystkie śmieszne filmiki, którymi dzielimy się na portalach społecznościowych, wyszukuje przeróbki piosenek, podpisuje zabawnie zdjęcia?

- W Polsce i na świecie aktywne uczestnictwo w kulturze to domena młodszych, lepiej wykształconych i sytuowanych, biegłych technicznie, kreatywnych. Więc jakoś uprzywilejowanych. Ale to tylko wynik uśrednienia cech użytkowników mediów cyfrowych w ogóle.

Po co ktoś poświęca swój czas i tłumaczy napisy do mojego ulubionego serialu? Albo podkłada własną ścieżkę dialogową pod fragment znanego filmu? Tylko po to, żeby milion internautów oglądających go na YouTube miało niezły ubaw?

- Czasem to potrzeba chwili, impuls, czasem chęć wyrażania siebie, dzielenia się przemyśleniami, oddziaływanie na innych, zaistnienia, a czasem pomysł na karierę zawodową. Dzięki pozytywnej reakcji odbiorców przypadkowa aktywność może się przerodzić w działalność niemal profesjonalną. Ale pewnie gdybyśmy o motyw wyzyskali popularnego blogera, to w zależności od dnia otrzymalibyśmy różne odpowiedzi. Jednej na pewno nie ma.

A czy pojęcie uczestnictwa w kulturze można w ogóle odnosić do aktywności w świecie cyfrowym?

- To temat wielkiej dyskusji. Nadal funkcjonujemy w schematach: nowe-stare, stworzone od zera-skopiowane, twórca-odbiorca. Tymczasem konstruując się na naszych oczach rzeczywistość jest bardziej skomplikowana i te pojęcia rozsada. Czy można odnosić stare kategorie do nowej rzeczywistości? Marek Krajewski, profesor Uniwersytetu Adama Mickiewicza, uważa, że warto bronić terminu „uczestnictwo w kulturze”, tylko trochę go przepracować. Kultura to nie uświęcony obszar, sformalizowany, zinstytucjonalizowany, do którego się zgarbionym wchodzi...

...wycierając przedtem buty.

- Od takiego myślenia powinniśmy odejść. I rozmawiać raczej o praktykach kulturowych czy praktykowaniu kultury. Trzeba po prostu uznać, że sposoby obcowania i tworzenia kultury wymagają mniejszego lub większego zaangażowania, ale to nie znaczy, że jedne są gorsze, a drugie lepsze.

Pójście do opery nie jest lepsze od tworzenia operowej wersji przeboju disco-polo?

- Trudno to porównywać bez konkretnych przykładów, ale mogą to być różne metody funkcjonowania w kulturze. Nie wszystko, co robimy w internecie czy przez media cyfrowe, jest twórczością. Czasem to po prostu efekt uboczny czy produkt komunikacji, jak większość komentarzy na Facebooku.

A wrzucenie do sieci słynnego fragmentu filmu Olivera Hirschbiegela „Upadek”, w którym pod obraz wkurzonego i wykrzykującego Führera podłożone są napisy o zamknięciu popularnego stołecznego klubu, czy reakcji Donalda Tuska na protesty dookoła ACTA to uczestnictwo w kulturze?

- Oczywiście, że tak.

W YouTube’owym filmiku „Tupu tup po śniegu” autor zmiksował urywki filmów z oblężenia Stalingradu z wesołą piosenką dziecięcą o zimie. Kulturoznawca, redaktor „Kontaktu” Jan Mencwel zauważa: „Przecież gdyby zrobił to jakiś szanowany artysta z nurtu wideo-art, ot, choćby Mirosław Bałka, to dzieło krążyłoby pewnie po najlepszych galeriach świata, a krytycy sztuki pisaliby o tym, jak bardzo jest »subwersywne« i jaki ładunek głębokiej krytyki współczesnego świata jest w nim zawarty. A na muzealnej karteczce obok dzieła kuratorzy napisaliby na przykład,

Dr Mirosław Filiciak

bada wpływ mediów cyfrowych na uczestnictwo w kulturze, internet i gry komputerowe. W warszawskiej SWPS pełni funkcję kierownika Centrum Badań nad Kulturą Popularną, prowadzi także zajęcia z zakresu nowych mediów, popkultury i kultury audiowizualnej

że »praca pokazuje, jak dziś wizerunek Hitlera czy obrazy wojny stały się jednym z wielu elementów otaczającego nas pola wizualnego, które swobodnie się przenikają, zacierając swoje prawdziwe znaczenie«”.

- Mamy dziś problem z mówieniem o sztuce czy kulturze. No bo czy sztuką jest tylko to, co tworzą artyści (tu znów problem - kto jest artystą?) i co pokazuje się w galeriach?

Wiele osób remiksujących „Upadek” nigdy nie widziało całego filmu i w ogóle się nim nie interesuje. A niektórzy są przekonani, że to my w Polsce wpadliśmy na pomysł podłożenia innych napisów. Tymczasem jest to mem krążący po internecie od dawna.

Są też próby przenoszenia remiksów zagranicznych na nasz grunt. W Stanach pojawiły się obrazki z kotami podpisane z błędami językowymi - celowo. Jakiś czas później u nas karierę zrobił „paczący kot”.

- I te „nasze” remiksy wydają się zabawniejsze od oryginału, bo trafiają w nasze poczucie humoru, kontekst społeczny albo historyczny, czy doskonale komentują bieżącą sytuację. Choć oczywiście bywa tak, że bardziej śmieszają, bo są „nasze”.

Czy remiksy Polaków różnią się od tego, co udostępniają w sieci użytkownicy z innych części świata?

- Mody są dziś globalne. Nie mam w głowie przegródek: memy polskie, memy zagraniczne. Szukam raczej innymi ścieżkami: remiksy filmu „Upadek”, śmieszne obrazki z kotami. A kto jest ich autorem, ma mniejsze znaczenie. Choć oczywiście niektóre pomysły robią większą karierę w Polsce, a przeróbki lokalnych materiałów kojarzone są tylko przez naszych rodaków. Trudno też powiedzieć, czemu jeden remiks staje się memem, a inny nie. W internecie jest mnóstwo materiałów, na które nikt nie zwraca uwagi. A potem ktoś coś wyciąga i staje się to hitem. Na przykład taki „Jożin z Bazin” albo „Ona tańczy dla mnie” zespołu Weekend.

Który jest najczęściej wyświetlanym polskim filmikiem w historii YouTube’a.

- Disco-polo od dwudziestu lat buzuje pod powierzchnią mainstreamu. I nagle wszyscy, z niewiadomych przyczyn, oszaleli na punkcie akurat tej piosenki, chociaż w swoim nurcie specjalnie się nie wyróżnia. Zresztą szybko doczekała się remiksów i przeróbek.

Jest wersja jazzowa, jest operowa...

- Czyli dla każdego coś miłego. U nas, w Polsce, dużo się dzieje na poziomie redystrybucji. Polacy chętnie dzielą się plikami, tłumaczą na przykład napisy do filmów, pełnią wspomniane już role kuratorskie. W raporcie „Tajni Kulturalni” (wydanym niedawno przez grupę badawczą, której jestem członkiem), nazywamy ich „ludźmi-routerami”. W znacznej mierze to dzięki nim możliwy jest przepływ różnych produktów kultury.

Magdalena Kicińska

Bóg, garnitur, ojczyzna

☀ Brazzaville i Kinszasa, odległe o setki kilometrów od Paryża i Londynu, stają się stolicami mody wbrew wszystkiemu i wszystkiemu

Karolina Sulej

Demokratyczna Republika Kongo oraz Kongo to kraje sąsiedzkie geograficznie i historycznie. Oba niepodległość od kolonizatorów - odpowiednio Belgii i Francji - zyskały w latach 60. Oba do dziś borykają się z nową postkolonialną tożsamością, trawią je wojny domowe i konflikty etniczne. W komunistycznej Republice Kongo średnia życia to 53 lata. W Demokratycznej Republice Kongo tylko 47 lat. Ich stolice - Brazzaville i Kinszasa - przeglądają się w sobie wzajemnie oddzielone tylko rzeką Kongo. Oba Konga łączy jednak także szczególny rodzaj nieposłuszeństwa obywatelskiego - ulicami bliźniaczych stolic spacerują szykowni, ubrani w europejskie garnitury mężczyźni, którzy prowadzą bezkrwawą estetyczną wojnę. To sapeurs - „ci, którzy ubierają się z klasą”, członkowie bractwa SAPE- La Société des Ambianceurs et des Personnes Élégantes (Stowarzyszenia Osób Eleganckich i Wprowadzających Dobry Nastrój). Ich wieloletni upór w praktykowaniu mody sprawił, że oba Konga nie tylko plasują się wysoko w rankingach państw o najniższym dochodzie na mieszkańca i o najwyższej śmiertelności, ale także tych, które typują miejsca wpływające na światowe trendy w stylu. Brazzaville i Kinszasa, odległe o setki kilometrów od Paryża i Londynu, stają się stolicami mody wbrew wszystkiemu i wszystkiemu.



W Brazzaville. Kongo,
2008 roku.

Fot. Baudouin Mounda

Precz z garniturem

Postkolonialna Afryka lat 60. i 70. chciała odciąć się od Zachodu. Okazało się jednak, że marzenie o kulturowej *carte blanche* jest jedynie utopią, która szybko realizuje się w formie totalitarnego reżimu z dokładnie skodyfikowanym systemem tego, co w ekspresji indywidualnej dozwolone, co zaś karalne.

W budowaniu tożsamości ważna jest jej wizualna reprezentacja czy też zewnętrzna prezentacja - wygląd, którego istotną częścią jest strój. Postkolonialni dyktatorzy w ramach formowania nowego obywatela nie chcą, żeby jego wygląd przypominał o historycznie zamkniętej epoce. W Kongo odzieżową niepamięć o kolonizatorach wymusza ustawowo Mobutu Sese Seko, który w latach 60. przejmuje władzę w nieukształtowanej jeszcze demokracji. W 1971 roku Mobutu nazywa siebie „ojcem narodu”, a niepodległe od zaledwie 10 lat Kongo - Zairem. Wraz z dyktaturą wojskową wprowadza ideologię *authenticite* - autentyczności, oficjalną linię narodowego myślenia. Autentyczność w rozumieniu Mobutu oznacza zerwanie zarówno z wpływami zagranicznymi, jak i kulturą plemienną. Nowe Kongo pod jego rządami ma stać się nowoczesnym państwem, gdzie każdy obywatel nosi mundur - dosłownie - przywiązania do kraju.

Wedle Mobutu nie należy ignorować spadku po przodkach, ale czerpać z niego selektywnie. Ta twórcza eksploracja tradycji ma jednak całkowicie wykluczać te modowe zwyczaje, które przeniknęły do lokalnej kultury w epoce panowania kolonialnego. Wszystkie zachodnie elementy odzieży, a w szczególności garnitur, koszula i krawat zostają zakazane, żeby pokreślić symboliczne odcięcie się od kolonialnej przeszłości. Mężczyzn zachęca się do noszenia tuniki przypominającej nieco uniform w stylu Mao, znanej jako abacost (od: a bas le costume, czyli precz z garniturem).

Najczęściej w tunice takiej widywano samego Mobutu, który szczególnie upodobał sobie wzór w panterkę i nosił ją na każdej sztuce odzieży, łącznie z kufi - tradycyjnym, okrągłym nakryciem głowy dla mężczyzn. Miał także swój ulubiony kapelusik w panterkę - prosto z Paryża. Mobutu nie zamierzał bowiem dawać swoim poddanym dobrego przykładu i promować lokalnych marek. Uwielbiał garnitury od Gucciego i limitowane edycje okularów Ray Ban.

Walka z zachodnim stylem ubierania się stała się mniej zaciekle dopiero w latach 90., wraz z upadkiem reżimu i ustanowieniem Demokratycznej Republiki Kongo. Nadal garnitur i inne stroje europejskie pozostały jednak silnie nacechowane politycznie.

Niewolnik i dandys

Nie wszyscy chcieli się podporządkować nakazowi odzieżowej izolacji od Zachodu. Wielu młodych Kongijczyków zdecydowało, że chęć posiadania zachodnich ubrań nie jest oznaką słabości ani wyrazem sentymentu do kultury najeźdźców, a tym samym zdradą narodową. Noszenie garnituru stało się dla nich sposobem na zachowanie modowej ciągłości między epoką kolonialną i postkolonialną oraz manifestacją odrodzonej narodowej pewności siebie. Nowe pokolenie Kongijczyków nie chciało bowiem po prostu ubierać się jak biali, ale ich ubranie uczynić własnym, przywłaszczyć sobie do niego prawo.

Ta strategia nie wzięła się znikąd. W czasach kolonialnych afrykańskich niewolników, a później lokalną służbę często ubierano w zachodnie stroje, aby nie odcinała się estetycznie od białych właścicieli. Biali traktowali służbę podobnie jak wystrój domu - świadczyła o ich statusie społecznym. Źle ubrany niewolnik raził, wywierał złe wrażenie na gościach. Musiał wyglądać europejsko. Zwyczaj przebierania nie został jednak przez Afrykanów przyjęty bezrefleksyjnie. Zaczęli adaptować narzucane im przez kolonizatorów stroje do własnych potrzeb i gustu. Rodził się czarny dandyzm.

W Europie Zachodniej końca XVIII i początku XIX wieku dandys to mężczyzna, który nie tylko chce się dobrze ubierać, ale także za pomocą stroju wyemancypować się ze swojej klasy. Dandys przebiera się w stroje arystokracji tak, aby uczynić się arystokratą na własnych zasadach.

Czarni mężczyźni ubierani przez swoich panów w stroje dandyśców po upadku kolonialnej władzy stali się dandyścami, którzy są czarni. Ta taktyka przejścia ubrań, a wraz z nimi poczucia siły i ważności nie dała się utemperować nowemu systemowi mody, który wprowadził Mobutu w ówczesnym Zairze. W przylegającej Republice Ludowej Kongo, trawionej wojną domową i konfliktami związanymi z przymusowym renesansem kulturowym, również dojrzewał bunt pokolenia, które w oferowanej przez rząd szansie na tożsamość widziało kolejny, podobny kolonialnemu zamach na własną au-



Mobutu Sese Seko

Fot. Nicolas Jose/SIPA PRESS/East News

tonomię. Po dwóch stronach rzeki Kongo, w dwóch stolicach rządzonych przez dwóch dyktatorów - w Brazzaville i Kinszasie - zaczęły się formować społeczności, które w odzieżowym buncie obywatelskim manifestowały własną wizję wspólnotowej ekspresji. Zaangażowani politycznie dandysi nazwali siebie sapeurs. Choć brzmi to niepoważnie, elegancja oraz aura wyrafinowania były sposobem walki z funkcjonalistycznymi dyrektywami rządu, ale także z tym, jak wyglądała kongijska codzienność. Nie panował tam dobry nastrój, ale bieda, brak perspektyw, przemoc. Ludzi nie było stać na elegancję. Dandysi jednak mimo wszystko opracowali własną definicję patriotyzmu. Polega on między innymi na pokazywaniu, że nie trzeba jechać do wysoko rozwiniętych państw zachodnich w poszukiwaniu poczucia godności. Wystarczy włożyć garnitur i dumnie przejść się po własnej ulicy.

Ołtarz i lustro

Przez pierwszych kilkanaście lat sapeurs byli realnie zagrożeni fizycznym prześladowaniem, wyśmiewani, nazywani pedałami i mięczakami. Potem jednak, pod koniec lat 70., raczkującym ruchem zainteresował się popularny kongijski muzyk Papa Wemba, który postanowił wypromować postawę sapeurs i postawić ich za przykład całej generacji. Porzucił broń, pracuj i ubieraj się elegancko - to dewiza sapeurów. Papa Wemba chciał ją uczynić własnością całego pokolenia. Podkreślał, że dbanie o siebie, o higienę, wygląd i elegancki strój to dla młodych najlepsze narzędzia walki o podwyższenie społecznego statusu. Apelował także, że nie trzeba uciekać się do przemocy, żeby zyskać społeczny szacunek. Sapeur jest bowiem pacyfistą - w jego kodeksie nie mieści się agresja.

Może co najwyżej głośno przechwalać się swoim ubraniem, obnosić się z nim, prezentować wszystkim jego doskonały krój, markę i szokować ceną. Czasem członkowie stowarzyszenia urządzają specjalnie pojedynki - zbierają się przed lokalną knajpą, siadają na zewnątrz przy stolikach i po kolei demonstrowują strój, głośno go opisując. Przechadzają się po ulicy jak po wybiegu i za pomocą gestów podkreślają swoje atuty. Takie „bitwy” w kodeksie sapeurs zastępują lewe i prawe sierpowe. Sapeur nie przelewa krwi. Całą walkę robią za niego ubrania, ich ceny i marki: Pierre Cardin, Roberto Cavalli, Dior, Fendi, Gaultier, Gucci, Issey Miyake, Prada, Yves Saint Laurent, Versace i Yohji Yamamoto.

Papa Wemba twierdził wbrew rządowi, że noszenie strojów od europejskich projektantów to przyjemność, a nie przestępstwo. Dzięki Papa Wembie ruch sapeurs zyskał zwolenników i rozpoznawalność. W szczyt swojej popularności Papa założył nawet „wioskę”, na którą składał się jego rodzinny dom i otaczające go ulice - gdzie obowiązywał jedynie regulamin La Sape. Papa nazywany jest królem sapeurów. Każdy jednak członek wspólnoty osób eleganckich rości sobie prawa do jakiegoś tytułu w ich odrębnej społecznej hierarchii, dzięki czemu czuje się ważny. Są więc na przykład minister finansów i kanclerz projektanckich marek, jest też arcybiskup od ciuchów. La Sape to bowiem wspólnota wręcz religijna. Sapeurs są w większości wierzącymi katolikami i regularnie uczęszczają na msze, ale jako dandysi tworzą własną sektę.

O tej właściwości dandyzmu pisał już Charles Baudelaire. Według niego dandysi to swoista mistyczna formacja, dla której ołtarzem jest lustro. Dan-

dyzm w tym rozumieniu to religia, która narzuca rygor, estetyzm, a przez to czyni dandyśa silnym. „Ubieram się jak sapeur, jest on odbiciem Boga. Szanujemy innych, nie lubimy wojny, miłujemy pokój i mamy twarde chrześcijański kod moralny” - mówią kongijski dandyści. Jak głosi jedna z zasad La Sape: „Kiedy sapeur wyraża się poprzez harmonię swoich ubrań, to tak, jakby poprzez swój strój dziękował Bogu za stworzenie pięknego i dobrego świata”.

- Teraz rząd przymila się do sapeurs, bo widzi, jak rozpoznawalną grupą stali się na Zachodzie - mówi Daniele Tamagni, fotografka, autorka albumu „Gentlemen of Bacongo”, dzięki któremu o La Sape zaczęły pisać europejskie i amerykańskie magazyny modowe. - Często się ich zaprasza, żeby uatrakcyjniać pogrzeby czy wesela. Ale to prawdziwi rewolucjoniści. Nie mają zamiaru zapisywać się do żadnej partii, chcą pozostać autonomiczni. Sapeurs bowiem uważają siebie za artystów.

Za wszelką cenę

Jednak praktykowanie La Sape ma także mroczną podszewkę. Przeciętny dochód w Kongo to sto dolarów na rok, jeden z najniższych na świecie. Importowany włoski czy francuski garnitur kosztuje 10 tysięcy dolarów - tyle ile dom w centrum Kinszaszy. Na każdy taki strój trzeba ciuć kilka miesięcy, a nawet lat - często kosztem innych inwestycji i utrzymania dobrobytu rodziny. Na wymarzone ubranie sapeur oszczędza w każdej innej sferze życia. Często mieszka z rodzicami, ledwo wiąże koniec z końcem. Jak jednak mówi kodeks stowarzyszenia: sapeur jest szczęśliwym człowiekiem nawet jeśli nie je, bo noszenie eleganckich ubrań karmi duszę i daje przyjemność ciała. Żony członków ruchu są dumne ze swoich mężów, a pasję przekazuje się - wraz z garniturami rodowymi - synowi. Czasem pragnienie posiadania wyznaczonego stroju jest silniejsze niż etyczne hamulce: sapeurs kupują na czarnym rynku kradziony (często przez współziomków) towar z Europy albo angażują się w działalność mafijną, sprzedają narkotyki, zajmują się naciąganiem ludzi. Nawet Papa Wemba nie ma krystalicznie czystej przeszłości - skazano go na kilka miesięcy więzienia za dorabianie się na szmuglowaniu imigrantów z Afryki do Francji.

Papa trafił na żyłę złota, bowiem każdy szanujący się sapeur zrobi wszystko, żeby znaleźć się w Paryżu czy Brukseli - mitycznych ojczyznach swoich ubrań, a jednocześnie dawnych kolonizatorów. Marzy, żeby zaistnieć tam jako dandyś, dorobić się i wrócić do kraju z torbami ciuchów od projektantów. Oni płacili, Papa woził.

W Paryżu i Brukseli działają miejscowe grupy sapeurs, które starają się „na obcej ziemi” - a może raczej „na ziemi byłych panów” - praktykować swoją sztukę. Na „ich” boisku pokazać, co potrafią. Żeby wypaść w odzieżowych popisach jak najlepiej, zajmują się dość szemraną działalnością. Nie chcą wracać. Mają też nieco inne priorytety estetyczne niż ich koledzy na Czarnym Łądzie. Upodobali sobie drogie futra.

Dobry ton

La Sape nie jest bowiem estetycznie jednolita. Paryż rywalizuje z Brukselą, Brazzaville z Kinszasą, dzielnica Bacongo z dzielnicą Mungali. To prawdziwa bezkrwawa wojna gangów. Ci z Brazzaville lubią równowagę w komponowaniu stroju, przestrzegają zasady niełączenia więcej niż trzech kolorów w



Bibliografia

Daniele Tamagni *Gentlemen of Bacongo*, Trolley Books, London 2009
Monica L. Miller *Slaves to Fashion. Black Dandyism and the styling of black diasporic identity*, Duke University Press, Durham&London 2009
Roland Barthes, *System mody*, przeł. Maciej Falski, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2005
Charles Baudelaire *Malarz życia nowoczesnego*, przeł. Marian Leon Kalinowski, Słowo/Obraz/Terytoria, Gdańsk 1998

W Brazzaville, Kongo,
2008 roku.

Fot. Baudouin Mounda

jednej stylizacji, cenią dobrze skrojone, często jaskrawe garnitury. Ci z Kinszaszy wołają, jak wszystkiego jest dużo - dużo kolorów, dużo akcesoriów, duże logo.

U każdego sapeura obowiązkowa jest jednak biżuteria oraz rekwizyt każdego dżentelmena - cygaro Cohiba. Rekwizyt, bo często nawet go nie zapalają, żeby dym nikomu nie przeszkadzał.

We wspólnocie La Sape obowiązują inne reguły niż w rzeczywistym świecie. To wymogi mody, która - w przeciwieństwie do kongijskiej codzienności - zawsze mówi językiem pokoju. Roland Barthes pisze, że euforię mody buduje jej zdolność do systemowego oporu przed cierpieniem. „Człowiek Mody zasadniczo różni się od wszelkich modeli kultury masowej: zło - w jakiegokolwiek postaci - jest mu obce. (...) Moda zawsze zanurza w stanie niewinności tego, o którym mówi i do którego mówi. Zanurza w stanie, gdzie wszystko jest najlepsze na tym najlepszym ze światów”.

„Dobry ton” mody zabrania jej wypowiedziania czegokolwiek, co jest estetycznie lub moralnie przykre, symbolicznie chroni użytkownika przed jakimkolwiek kontaktem ze złem. Wyrzekający się przemocy eleganccy sapeurs z Konga są więc ucieleśnieniem jej języka. Widomym znakiem tego, że uprawianie mody jest marzeniem o świecie absolutnie dobrym i pięknym.

Karolina Sulej

Projektanci, stratedzy i kanibale

☀ Niewymienne baterie, nienaprawialne części samochodowe, niekompatybilne urządzenia elektroniczne. ☀ To świadoma i powszechna strategia producentów i marketingowców, byśmy pozbywali się rzeczy i kupowali nowe. ☀ Produkty żyją coraz krócej, a to oznacza coraz więcej trudno rozkładalnych śmieci

Marcin Fabjański

Gdyby amerykański projektant przemysłowy Brooks Stevens dożył naszych czasów, mógłby być z siebie dumny. W latach 50. ubiegłego stulecia, żeby jakoś zatytułować jeden ze swoich wykładów, ukuł termin „planowane zanikanie”. I zdefiniował go tak: „Zainstalowanie w kupującym potrzeby posiadania czegoś odrobinę nowszego, odrobinę lepszego i odrobinę wcześniej niż to konieczne”.

Kolejki ustawiające się do sklepów Apple’a na kilkadziesiąt godzin przed premierą nowego iPhone’a są idealnym przykładem tego, że rzeczywistość wypełniła treścią definicję Stevensa. Dzisiaj „planowane zanikanie” jest standardem. Firmy produkują rzeczy przewidziane na kilka lat, a nawet kilka miesięcy. Potem klient ma kupować ich nowe, odrobinę lepsze wersje.



Armia „Ludzi Śmieci” na lodach Longyerarbyen w Norwegii, marzec 2011.

Ha Schult, niemiecki artysta stworzył „Ludzi Śmieci” w 1996 roku i podróżował z nimi po całym świecie.

Fot. Gianluca Battista / Demotix / REPORTER / East News

Elektroniczny gen destrukcji

Zanim współczesny projektant nowego produktu przemysłowego usiądzie przed komputerem albo stanie nad deską kreślarską, musi znać odpowiedź na zasadnicze pytanie: Jak długo to coś ma żyć? W efekcie do sklepów trafiają np. drukarki atramentowe tak zaprojektowane, żeby kolorowy atrament zużywał się nawet wtedy, kiedy drukujemy tylko czarno-białe strony. Efekt: klient musi kupować tonery częściej.

W niektórych tonerach umieszczone są specjalne czipy, które dbają, żeby nie można było ich stosować po pewnym czasie albo po wydrukowaniu pewnej liczby stron, nawet jeśli wciąż nadają się do użytku.

Odpowiednikiem tej praktyki w elektronice są urządzenia z wbudowanymi bateriami, których nie można wymienić, albo których wymiana wiąże się z kosztami lub trudnościami technicznymi. Umierają one dokładnie w czasie, który zaplanował projektant.

„Planowane zanikanie” obejmuje także samochody. Specjalnie ogranicza się produkcję części zamiennych, żeby jakiś zdolny mechanik nie próbował, broń Boże, naprawy auta. Klient ma kupić nowe.

Do naprawy ma zniechęcić jej koszt. Drogie moduły nieprzypadkowo są tak umieszczane, żeby najbardziej ucierpiały w wyniku wypadku czy stłuczki. Współczesny projektant auta stara się też o to, żeby mechanik musiał wyjmować cały silnik, by naprawić coś drobnego. A to nie jest tania operacja.

Samochód przestał być produktem na długie lata. Nowe wersje modeli aut mają często tylko zmiany kosmetyczne. Działy marketingu śledzą przy tym uważnie cykle konkurencji. Nowa wersja Hondy CRV pojawia się zwykle mniej więcej w tym czasie co nowa wersja konkurencyjnej Toyoty RAV.

„Planowane zanikanie” to strategia marketingowa, a nie cecha zaawansowanych technologii. Można je stosować na produktach znanych od stuleci, np. na książkach. Niektórzy wydawcy podręczników wypuszczają ich wznowienia równie często jak Apple nowe modele iPhone’a. Nawet jeśli wiedza w danej dziedzinie w tym czasie niewiele się zmieniła. Dbają o to, żeby powtórzony materiał w nowych wydaniach był w zupełnie innym miejscu niż w starych. A to uniemożliwia nauczycielom pracę z tymi uczniami w klasie, którzy mają tylko starsze wydania.

Jednak największymi mistrzami w dziedzinie „zanikania” są producenci komputerów, elektronicznych urządzeń przenośnych i software’u. Jedną z ich głównych trosk polega na tym, żeby nowsze wersje nie były kompatybilne ze starszymi. Zadba o to programista albo projektant, który zmieni kształt portów na wtyczki albo system zasilania. Wymiana baterii w iPodach Apple’a jest koszmarkiem technologicznym. Na wszelki wypadek. Bo ten producent za pomocą estetyki designu postarał się o to, żeby kupowanie nowych modeli stało się sprawą mody.

Gra w sprzedaż

Na końcu łańcucha projektowania, produkcji i sprzedaży jest zawsze klient. To o jego portfel toczy się gra. Tyle że współczesne firmy nie mają już ambicji, żeby klienta pozyskać. One chcą go urobić, albo nawet stworzyć.

Krytycy tego systemu, tacy jak Vance Packard, autor książki „Marnotrawcy”, ostrzegali już w latach 60., że przedsiębiorcy chcą nas w zaplanowany, systematyczny sposób uczynić ludźmi zadłużonymi, rozrzutnymi i niezadowolonymi. Packard uznał, że są dwa rodzaje „planowanego zanikania”: jeden dotyczy trwałości towaru, a drugi, jeszcze ciekawszy i związany z psychologią - zanikania naszej chęci do jego posiadania.

Spece od marketingu muszą zniechęcić nas do cieszenia się przedmiotami, które posiadamy, zdaniem ich szefów, zbyt długo. Sprawić, że przestają być ekscytujące. Spece od projektowania muszą zapewnić systematyczny i szybki dopływ nowych kolekcji.

I tu tkwi pewne ryzyko biznesowe. Badania i projektowanie nie są za darmo. Sprzedaż nowych linii produktów musi je sfinansować i jeszcze przynieść zysk. Na dodatek nowe produkty pożerają stare - zjawisko to nazywa się kanibalizacją. Marketing musi zadbać o to, żeby nie zabrały się do swojego posiłku zbyt wcześnie. Sprzedawca trzeba coraz więcej. A to oznacza, że wyrzucać też trzeba coraz więcej. Mechanizm napędza się sam.

Po co używać tak wielkiej energii i pożerać tak wiele zasobów, żeby zbudować nową wersję samochodu, która różni się od starej tylko kosmetyką? Zwolennicy coraz krótszych okresów „planowanego zanikania” powiedzą, że to ma sens - technologia rozwija się dzięki temu szybciej, a my żyjemy coraz wygodniej. Przeciwnicy nie dadzą się tak łatwo przekonać - według nich marketingowcy powstrzymują postęp, wypuszczając nieskończone wersje trochę ulepszonych produktów.

Giles Slade, pisarz, aktywista społeczny i krytyk takiego systemu, twierdzi w wywiadach, że jest przez to opluwany na forach internetowych, głównie

przez fanów produktów Apple’a. Jego zdaniem religijne przywiązanie do marki zamienia ich w fanatyków. Kiedy pisze w internecie, że iPody są tak zaprojektowane, żeby ich baterie siadały po 11 miesiącach, a baterie tak umieszczone, żeby nie dało się ich zastąpić (klientowi pozostaje kupienie nowszej wersji), zalewają go wrogie posty. Napomknięcie o tym, że Apple utrudnia zwracanie produktów, budzi furję.

W wywiadzie dla magazynu „Stay Free!” Slade narzekał: „Młodzi ludzie nie chcą słyszeć żadnej krytyki iPoda. Równie łatwo dotarłbym do nich, gdybym założył turban i zapuścił długą brodę. Chodzi o wartość społeczną dóbr konsumpcyjnych. Kiedy mówię coś negatywnego na temat ich plemiennej ikony, to jakbym osobiście ich atakował. Młodzi ludzie mają zupełnie inne poczucie niż my w kwestii tego, jak długo powinny być używane rzeczy. To mnie przeraża”.

Środowisko nie połknie wszystkiego

Przerażenie Slade’a podziela coraz więcej ludzi. Ciągłe zastępowanie nowych rzeczy nowszymi i upadek tradycji naprawiania przedmiotów zwiększają tony odpadów, którymi już teraz zavalona jest nasza planeta. Środowisko naturalne ulega zniszczeniu, wzrastają koszty utrzymania.

Powstają grupy, które coraz mocniej przeciwko temu protestują, takie jak Zero Waste. Ich program to maksymalny recykling, zmniejszenie konsumpcji i wprowadzenie zakazu produkcji rzeczy jednorazowych.

Niektóre z tych grup tworzą nowe systemy filozofii życia opartej na cykliczności, jaką znajdujemy w naturze. Inne badają też psychologiczne skutki współczesnych modeli produkcji, reklamowania i sprzedaży dóbr. W ramach tych nowych dociekań Giles Slade zadał pytanie: Jeśli twoje zabawki są bez przerwy usprawniane i zastępowane, to w jaki sposób może to wpłynąć na twoje relacje z ludźmi?

Marcin Fabjański

Wymiana, czyli handel bez pieniędzy

- ☼ Czy wzrastająca popularność wymianek i banków czasu to tylko reakcja na kryzys?
- ☼ Czy trend, który może zmienić kulturę konsumpcji i rywalizacji na kulturę wspólnoty i współpracy?



Renata Bożek

Na Free Troc Party w Paryżu może przyjść każdy, kto ma zbędne ciuchy, chce odnowić garderobę i... jest gotów cierpliwie stać w kolejce do wejścia do klubu, bo chętnych wśród Francuzek nie brakuje. Troc - portal dla tych, którzy chcą sprzedać używane rzeczy lub się nimi wymienić - ma najwięcej zwolenników wśród kobiet z klasy średniej oraz środowisk artystycznych i naukowych. Klasa średnia musi zaciskać pasa, a artyści i naukowcy mają większą od przeciętnej skłonność do alternatywnego stylu życia. W płaszczyku vintage z wymianki, szytym na miarę w latach 80., można zadawać większego szyku niż w płaszczu z sieciówki.

- Na naszej pierwszej oficjalnej imprezie wymiankowej, zorganizowanej w czerwcu 2009 roku w restauracji Winowajca na warszawskiej Pradze, też przeważały osoby z kręgów artystyczno-akademickich. Zainteresowanie było tak duże, że postanowiłyśmy pociągnąć to dalej - opowiada Kasia Ogonowska, jedna z pomysłodawczyń i organizatorek „Uwolnij Łacha”, najstynniejszej polskiej akcji recyklingowo-wymiankowej. Na Facebooku ma ona ponad 5 tysięcy znajomych i każda impreza przyciąga setki chętnych. - W marcu tego roku odbyła się 14. edycja akcji.

Aleksandra Pawelska,
jedna z organizatorek akcji
„Uwolnij Łacha”.
Centrum Promocji Kultury Praga
Południe, 9 marca 2013 roku.
Fot. Daniel Sówka

Trzy przyjaciółki: Kasia Ogonowska, Ola Manola i Teresa Skubij wymieniały się ciuchami. Gdy zaczęły do nich dołączać kolejne koleżanki, w mieszkaniu Oli zrobiło się ciasno. Przeniosły się do klubów i domów kultury. - Wymieniamy się wszystkim, co się da: książkami, zabawkami, sprzętem domowym czy meblami - mówi Ogonowska. - Wynieść można, ile się chce, niezależnie od tego, ile sami przynieśliśmy. W tej akcji chodzi też o to, by fajnie razem spędzić czas, dlatego można posłuchać dobrej muzyki, zjeść wegetariański posiłek, wziąć udział w warsztatach recyklingu. Jest kącik dla dzieci. Wejściówka kosztuje 8 zł, bo musimy opłacić m.in. klub i opiekunów dla dzieci. Zdarza się, że dokładamy, ale „Uwolnij Łacha” to coś więcej niż pieniądze - łączy się z naszymi przekonaniami ekologicznymi i antykapitalistycznymi. Chodzi o to, żeby nie napędzać maszyny produkcyjnej, nie poddawać się ideologii: „Kupuję, więc jestem”.

Mniej rzeczy, więcej tlenu

- Do niedawna obowiązywała zasada nieustającej konsumpcji, bo ona wyznaczała status społeczny - mówi w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” Régis Bigot, socjolog z francuskiego Obserwatorium Warunków Życia. - Dzisiaj konsumpcji towarzyszy refleksja: Czy rzeczywiście to wszystko jest mi potrzebne? A jeśli tak, to czy muszę posiadać to na zawsze, czy mogę za jakiś czas odsprzedać, wymienić, wypożyczyć, podzielić się? W

2011 roku aż 21 procent Francuzów co najmniej raz skorzystało ze stron internetowych, na których dokonuje się wymiany towarów i usług bez używania pieniędzy. I nawet zakładając, że kryzys się skończy, to sądzę, że mimo pokusy powrotu do dawnego modelu konsumpcji po chudych latach pozostanie u Francuzów refleksja nad społeczeństwem postkonsumpcyjnym.

We Francji i Niemczech rośnie popularność wspólnego korzystania z samochodu i dzielenia się kosztami benzyny i opłat za autostrady - entuzjastami takich wymianek są ludzie młodzi, kreatywni, dobrze wykształceni, dla których liczą się inne oznaki statusu i wartości niż własny (i kosztowny) samochód (nieraz na kredyt).

Bardziej skłonni do wymieniać się i ubraniami, i samochodami są ci, którzy mają rozwiniętą świadomość ekologiczną. Zamiast wyrzucać rzeczy i powiększać góry śmieci, lepiej je oddać. Wspólna podróż samochodem zmniejsza liczbę aut na drodze, a więc i ilość dwutlenku węgla. W ten sposób mówimy również „stop” nadmiernej produkcji rzeczy, przeciwstawiamy się też reklamie i marketingowi, wmawiającym, że nowy płaszcz lub drogi rower to oznaka przynależności do lepszego świata.

Bank czasu: wymiana i relacja

„Mogę dawać lekcje angielskiego za drobne naprawy w domu”, „Założę stronę internetową w zamian za pomalowanie mieszkania” - to oferty na stronach Accorderie, kanadyjskiego banku czasu utworzonego w dzielnicach Quebecu o wysokim stopniu bezrobocia. Celem tej wymiany usług i umiejętności jest walka z wykluczeniem społecznym i wzmacnianie więzi sąsiedzkich. Aby zostać członkiem banku, wystarczy zaoferować jedną usługę. Jedna czwarta członków reprezentuje klasę średnią. Francuskie Accorderie powstało w 2011 roku w XIX dzielnicy Paryża, gdzie bezrobocie sięga 20 procent. Jego członkami są głównie samotne kobiety w wieku 45-65 lat. Jedna czwarta to młodzi ludzie w wieku 18-35 lat. Można skorzystać m.in. z rad, jak tanio zorganizować wyprawę do Afryki, znaleźć pomoc w pisaniu pism urzędowych, towarzystwo na wyjścia do kina, teatru, na wystawę.

W Polsce banki czasu też stają się popularne. Sylwia Chutnik, pisarka i prezeska Fundacji „MaMa”, opowiada „Wysokim Obcasom” o pomysłach na ten rok: „Najciekawszym jest wypożyczalnia rodzin. Gdy ktoś nie ma dziecka albo nie ma babci, przychodzi do nas i na zasadzie banku czasu wymienia się i buduje relacje. (...) Babcia upiecze szarlotkę albo wyjdzie na spacer z przyszywanym wnuczkiem za to, że tata tego dziecka przyjdzie i wykona pracę majstra. Według afrykańskiego porzekadła: »Potrzeba całej wioski, żeby wychować dziecko«. My chcemy taką miniwioskę wzniesić tu, w Śródmieściu.

Bo bank czasu to też budowanie więzi między ludźmi, otrzymywanie i dawanie wsparcia. Według psychologów dla dobrego samopoczucia szczególnie ważne jest wsparcie, które dajemy innym. - Po pierwsze, pomaganie nasila przyjemne uczucia, a one poprawiają zarówno nastrój, jak i zdrowie - tłumaczy Bogdan Wojciszke, profesor psychologii z SWPS w Sopocie i autor niedawno wydanej książki „Psychologia miłości” (GWP). - Jeszcze ważniejsze jest to, że pomagając innym, zwiększamy poczucie własnej sprawczości i aktywnego wpływu na to, co dzieje się w naszym życiu. A to zwiększa poczucie sensu życia, nadaje mu cel znacznie wykraczający poza



Wymieniamy się wszystkim, co się da - mówi Katarzyna Ogonowska, jedna z pomysłodawczyń akcji „Uwolnij łacha”.
Fot. Daniel Sówka

cowników na umowach o pracę, z zabezpieczeniami i benefitami w postaci samochodów czy prywatnych przychodni. Na dolnym pokładzie płyną wszyscy ci, od których wymaga się pracy na umowach śmieciowych, trzymają w wiecznej poczekalni do etatu, słabo opłaca i zmusza do nadmiernej konkurencji. Alternatywne obiegi wydają mi się sposobem na konserwowanie społeczeństwa dwóch pokładów. Dla górnego: cała śmietanka wysokich zarobków i rozbuchanej konsumpcji, dla dołu: łatanie dziur w budżecie przez bezgotówkową wymianę dóbr i usług. O wiele bardziej przekonuje mnie idea powszechnego dochodu gwarantowanego, pozwalająca na zaspokojenie podstawowych potrzeb na rynku i dawanie wystarczająco opłacanej pracy innym, a także wzmocnienie pasażerów dolnego pokładu w relacji z pracodawcami.

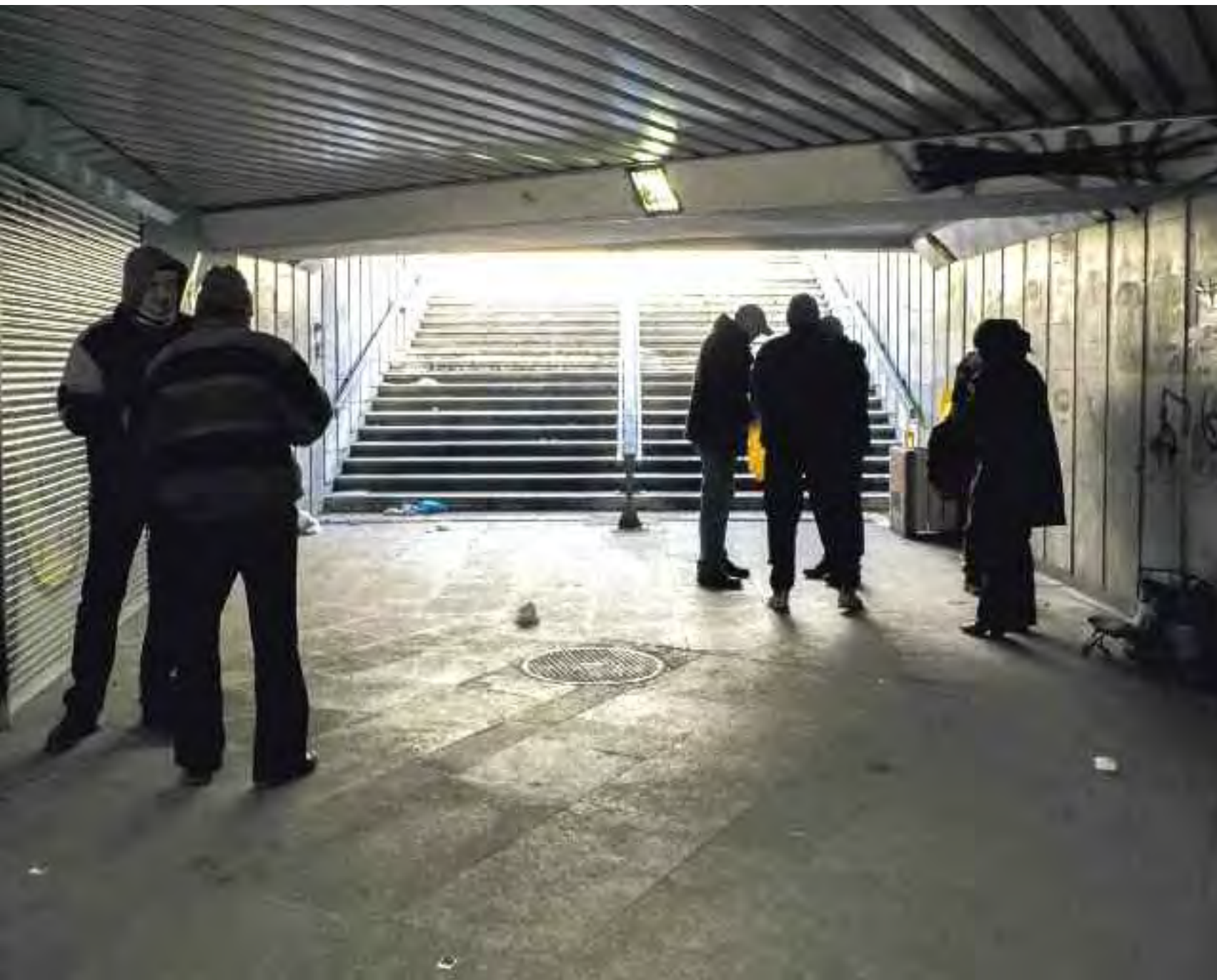
Renata Bożek



2013

Polska

Fotografie
Michał Siarek



Miejscy łowcy

☼ "Nurkowie" mówią, że w śmietnikach zalegają absurdalne ilości luksusowych produktów, na przykład te, które nie wytrzymają świątecznej przerwy w pracy sklepów. ☼ Są też starannie zapakowane pozostałości po eleganckich bankietach

Ugotowanie dwóch wojskowych garów zupy na jednej kuchence to wyzwanie. Podobnie dowiezienie ich na miejsce zbiórki, jeśli się nie ma samochodu. Ale społecznicy z ruchu Jedzenie Zamiast Bomb (Food Not Bombs) znajdują sposoby i pomocników. Rozdają ciepłe wegetariańskie posiłki biednym, głodnym, bezdomnym.

Jedzenie Zamiast Bomb działa w USA i Europie, także w Polsce. Gdańsk, Poznań, Olsztyn, Warszawa, Szczecin, Łódź, Kraków, Gorzów Wielkopolski... Aktywiści należą do wielkiego nurtu buntowników przeciwko konsumpcjonizmowi i marnotrawstwu. Ich postawa kształtowała się w latach 80., wyrosła z pacyfistycznej kultury anarchistów. Zyskała popularność, kiedy na Zachodzie zaczęła budzić się odpowiedzialność za środowisko naturalne. Nazwano ją freeganizmem, to znaczy życiem za darmo. Wiąże się z nią pojęcia dumpster diving oraz skipping - nurkowanie w śmietnikach. Nurkuje się, żeby to, co odrzucone, znaleźć i wykorzystać. Jedzenie, ciuchy, meble, sprzęt znowu puścić w obieg.

„Nurkowie” mówią, że wymaga to sprytu i orientacji w mieście. Trzeba znać supermarkety, które w specjalnych pojemnikach wystawiają produkty o krótkich terminach ważności lub te uchodzące za zepsute. Przejąć je, nim zrobi to firma od utylizacji. Warto orientować się, jakich lokalizacji unikać. Nie wszyscy pracownicy sklepów są przyjaźni. Zdarza się, że celowo oblewają odpady chemią, żeby odstraszyć zbieraczy. Ale są i tacy, co w tajemnicy przekazują „nurkom” jedzenie, jeśli wiedzą, że nie brak mu niczego poza biurokratycznym stempelkiem. Tak robią niektóre restauracje i piekarnie. Operatorzy dużych sieci handlowych nie są równie tolerancyjni. Prawo zobowiązuje ich do uniemożliwiania dalszego obiegu produktów uznawanych za niezdatne do spożycia.

Z punktu widzenia prawa grzebanie w obcym śmietniku nie jest kradzieżą, co najwyżej wtargnięciem na cudzą posesję. Policjanci i strażnicy miejscy wiedzą, że szkodliwość czynu jest znikoma. Jeśli „nurkowie” są uśmiechnięci i spokojni, sytuację zazwyczaj udaje się załagodzić.



Krótki czas między wyjściem pracowników sklepu a odbiorem odpadów przez firmę jest często jedynym momentem, w którym można wybrać produkty nadające się do przetworzenia. Najbezpieczniejsze są zawsze te szczelnie zapakowane - puszki, butelki, worki, opakowania próżniowe. Najmniej - mięso, ryby oraz nabiał.

Warzywa i owoce wymagają racjonalnego podejścia. Czasem zepsuta część da się odkroić, a bakterie zabić w procesie obróbki termicznej. Innym razem można podejrzewać, że jedzenie naruszyły zwierzęta, więc nie ma sensu ryzykować. Chociaż 26 procent Polaków ma kłopot z zaspokojeniem podstawowych potrzeb, co roku niszczy 9 milionów ton żywności. Większość freeganów twierdzi, że w śmietnikach zalegają absurdalne ilości luksusowych produktów, na przykład te, które nie wytrzymają świątecznej przerwy w pracy sklepów. Są też starannie zapakowane pozostałości po eleganckich bankietach.

Freeganie to miejscy łowcy, mają jednak niepisany savoir-vivre. Najpierw jedzą ci, którzy najbardziej potrzebują. Bierzą tylko tyle, ile jesteśmy w stanie zjeść lub przekazać znajomym. W dobrym tonie jest wymiana informacji, żeby dwie ekipy nie spotkały się w tym samym miejscu. Obowiązuje kolejka. Zawsze zostawiamy po sobie porządek, żeby nie robić problemów obłudze.

Komórki Food Not Bombs na całym świecie działają niezależnie, bez hierarchii. W Wielkiej Brytanii, Francji czy Holandii cieszą się społecznym poparciem, często dostają pełnowartościowy towar. Ekipy - zależnie od możliwości i potrzeb - działają cały rok lub tylko zimą. Akcje organizują od 10 lat. Wyznaczają koordynatora, dzielą się obowiązkami, informują potrzebujących, kiedy i gdzie mogą się zgłaszać. Razem przygotowują posiłki. W oznaczonym dniu każdy stawia się z własnym nożem i obieraczką. Gotują w różnych miejscach, żeby sprawiedliwie dzielić się kosztami energii. Komórki, które funkcjonują w ramach skłotów, mają trochę łżej: dysponują własnym zapleczem.

Niektórzy uważają, że skipowanie to moda dla zblazowanych mieszkańców. Niekoniecznie. Żeby się o tym przekonać, warto zajrzeć na strony internetowe prowadzone przez „nurków”. Są tam instrukcje, jak rozkręcić taką działalność, i ślady tego, co zrobili. „Załogo, mobilizacja: byliśmy na targu z Tomkiem i jesteśmy przezaopatrzni, mamy m.in. wymagające natychmiastowego przerobu ok. 100 kg pomidorów. Kupiliśmy mieszadło do wiertarki, potrzebujemy słoików i plastikowych wiader; oczywiście, najbardziej potrzebujemy kilku rąk do pracy dzisiaj i jutro”.

10







Michał Siarek, rocznik 1991, student III roku fotografii w Państwowej Wyższej Szkole Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej w Łodzi.



Serge Poliakoff abstrakcja liryczna

Tímea Junghaus

Kompozycja
abstrakcyjna
1954 rok
Gwasz
na papierze
Fot. AFP/East News



☀ „W malarstwie najbardziej interesuje mnie jego czystość” Serge Poliakoff

Serge Poliakoff urodził się w Moskwie w 1906 roku jako trzynaste dziecko spośród czternaściorga rodzeństwa. Jego pochodzący z Kirgistanu ojciec, George Poliakoff, zajmował się hodowlą koni wyścigowych, które dostarczał wojsku. Matka, Stroukoff Agrippina, była córką posiadaczy ziemskich. Oboje aktywnie działali w Kościele; według danych biograficznych młodego Serge'a pasjonowała ikonografia religijna. Jako nastolatek lubił słuchać klasycznej opery, chętnie uczył się matematyki i algebry, grał na gitarze i śpiewał. Fascynował go Napoleon, a w jego sypialni wisiała duża reprodukcja portretu Cesarza. Serge Poliakoff zapisał się do Moskiewskiej Szkoły Malarstwa, Rzeźby i Architektury, uczestniczył nawet w letnich kursach przygotowawczych, które miały zapoznać nowych uczniów z liryzmem malarskim Izaaka Lewitana. Jednak jego dalszą edukację uniemożliwił wybuch rewolucji w Rosji w 1917 roku - musiał uciekać z ojczyzny. Odbił niewątpliwie niezwykłą, niebezpieczną podróż wagonem węglowym do Kijowa, następnie przez Kaukaz do Gruzji, a w końcu statkiem do Konstantynopola, gdzie dotarł w 1920 roku. Dzięki talentowi muzycznemu mógł zarabiać na życie, grając na gitarze. Właśnie wtedy spotkał swoją ciotkę Nastię Poliakoff, która zaproponowała mu udział w trasie koncertowej po Europie z legendarnym zespołem rosyjskich Romów. W rezultacie Serge zaczął grać w rosyjskich kabaretach Szeherazada i Casanova; aranżował również muzykę do filmów. Przez Sofię, Belgrad, Wiedeń i Berlin dotarł w 1923 roku do Paryża. Barwne życie kulturalne i artystyczne tego miasta wywarło na nim tak wielkie wrażenie, że postanowił zostać i w 1929 roku zapisał się do Académie de la Grande Chaumière (uczelnia artystyczna w paryskiej dzielnicy Montparnasse), by kontynuować naukę sztuki i muzyki, którą przerwała rosyjska rewolucja. W 1930 roku studiował również w Académie Frochot, gdzie profesorami były takie sławy jak Othon Friesz czy Yvan Cerf. Poliakoff po raz pierwszy zaprezentował swoje dzieła na wystawie grupowej w Galerii Drouant w 1931 roku. Wydarzenie to opisano w kilku gazetach i magazynach rosyjskich emigrantów w Paryżu. Niestety, większość dzieł z tamtego okresu się nie zachowała. Jeszcze w tym samym roku wziął udział w wystawie w Grand Palais, prezentującej dzieła młodych włoskich prymitywistów, które stały się dla niego inspiracją. Poliakoff interesował się ilustrowaniem natury, dziesięć lat studiów poświęcił na malowanie aktów w stylu Velasqueza. Ale w tym czasie jego głównym źródłem utrzymania pozostawała muzyka. Grał w zespole Elvire Popesco w Théâtre de Paris. W 1932 roku Poliakoff zaprezentował swoje prace we Francuskim Salonie Artystycznym. Montmartre, gdzie uczyli go Friesz, Cosson i Cerf. Jednym z jego



Serge Poliakoff (1900-1969)
w środku, z lewej poeta
Konstantin Dmitrievitch
Balmont (1867-1842),
z prawej Modest Alexandrovich
Durnov (1868-1928).
Fot. AFP/East News

sławnych dzieł z tamtego czasu jest „Taniec rosyjskich Cyganów”, gwiazd na papierze (obecnie w kolekcji państwa Ulte z Bonn).

W 1935 roku Poliakoff zaczyna szukać artystycznych inspiracji w Anglii. Regularnie chodzi na zajęcia w londyńskiej szkole Slade School of Fine Art. Odwiedza Muzeum Brytyjskie, gdzie zachwycają go egipskie sarkofagi. Równie wielkie wrażenie robią na nim podświetlane manuskrypty w Muzeum Wiktorii i Alberta. Zakochuje się i poślubia Marcelle Perreur-Lloyd, młodą pół-Irlandkę z Londynu. W 1937 roku wraca z żoną do Paryża. Poznaje tam Kandinsky'ego; razem z nim i Otto Freundlichem pracuje nad wystawą w Galerii Zak. Kontakty ze znaczącymi postaciami intelektualistów paryskich lat 30. zaowocowały całkowitą przemianą sztuki Poliakoffa ku malarstwu niefiguratywnemu i abstrakcjonizmowi. Po obejrzeniu wystawy Serge'a Kandinsky stwierdził: „Na przyszłość - polecam Poliakoffa”. Znajomość z mecenasami sztuki Sonią i Robertem Delaunaymi przekształciła się w przyjaźń na całe życie. W 1938 roku odbyła się pierwsza indywidualna wystawa Poliakoffa. Dzieła na niej wystawiane pozostawały pod dużym wpływem teorii równoczesnego kontrastu Delaunaya - idei kompozycji malarstwa abstrakcyjnego. Wystawa okazała się prawdziwym sukcesem, a sam Poliakoff otrzymał nagrodę dla młodych artystów Mitty Goldin od Teatru ABC. Jury, w którego skład weszły takie sławy jak Despiau, van Dongen czy Gromaire, uznało jego dzieła za wybitne. Wkrótce okrzyknięto go jednym z najważniejszych przedstawicieli pokolenia. W 1939 roku Poliakoff zaprezentował jedną z prac w Salonie Artystów



Kompozycja abstrakcyjna

Tempera

Fot. Roger Viollet/East News

Niezależnych i od tej chwili zyskał stałe miejsce w Galerii L'esquisse. Za swoją twórczość dostał nagrodę Prix de la Piste á l'Ecrau. Znaczące wyróżnienie, biorąc pod uwagę jury, w którym zasiadali: Fernand Léger, Kees van Dongen oraz Marcel Gromaire.

Od 1946 roku Poliakoff uprawiający charakterystyczne malarstwo abstrakcyjne staje się aktywnym członkiem sceny awangardowej, eksperymentując równocześnie z grafiką. Bierze udział w istotnych dla tego środowiska wydarzeniach - w Centrum Badawczym przy ulicy Cujas ilustruje przemówienie Herbina na temat ewolucji malarstwa, a na wystawie prezentuje gwasze, rysunki i pastele. Wydarzenia te współtworzyli także: Kandinsky, Herbin, Domela, Dewasne, Deyrolle, Hartung, Marie Raymond oraz Schneider.

Nowy styl - abstrakcja liryczna - stanowi doskonałą syntezę muzycznych talentów Poliakoffa oraz jego malarskiej wirtuozerii. Płótna przypominają układankę zdominowaną przez sugestywny rytm splecionych form abstrakcyjnych oraz kontrastów kolorystycznych, które definiują atmosferę niefiguratywnego świata. Możliwe, że twórca podjął tę decyzję, aby zachować autonomię artystyczną. Oprócz malarstwa miał przecież drugą, muzyczną twarz. Ciągłe pracował jako muzyk, grał co wieczór na gitarze. Bez wątplenia czerpał też z wzornictwa tekstylnego, którym się zajmował dla zarobku. W 1947 roku dołączył do Galerii Denise René, gdzie prezentował swoje prace podczas grupowej wystawy razem z Duthoo, Pouyem. M. Raymondem. W 1947 i 1948 roku Poliakoff otrzymał Nagrodę imienia Kandinsky'ego. Uczestniczył w wystawie rzeźby i malarstwa współczesnego w Galerii Denise René. Z dzieł tam prezentowanych muzeum w Grenoble zakupiło jeden obraz, a twórczość Poliakoffa trafiła do oficjalnego kanonu sztuki współczesnej. Kontynuował swój udział w wystawach sztuki współczesnej. Przy okazji pokazu w 1951 roku w Galerii Dina Vierny Charles Estienne tak chwalił jego sztukę: „Poliakoff od początku do końca jest abstrakcjonistą: jednak nie zadowala go niefiguratywność, dlatego oferuje nam formy, prawdziwe formy... które wstrząsają i wzruszają, jak znaki odnoszące się do świata poezji zakorzenionego w nas jak druga natura”.

Bibliografia:

„Művészeti lexikon I-IV. Főszerk”.

Zádor Anna,

Genthon István.

3. kiad. Budapest:

Akadémiai.

1981-1983.

„A modern

festészet

lexikona”.

Budapest: Corvina,

1974. Szergej

Poljakov szócikkét

szócikkét lásd

296. p.

„Serge Poliakoff:

Catalogue

Raisonné

1900-1954”,

ed. Alexis

Poliakoff, Acatos

Editions, 2006

W tym samym roku świat dowiedział się o sukcesach Poliakoffa, artysta wziął bowiem udział w międzynarodowej wystawie Klar Form, 20 Artystów Szkoły Paryskiej zorganizowanej przez Denise René. Pokazywano ją w Belgii, Szwecji, Norwegii i Finlandii, a Poliakoffa uznano za jednego z najbardziej wpływowych malarzy pokolenia. Ale twórca wciąż znaczną część dochodów zdobywał grą na białej grze.

W 1959 roku Poliakoff pracował nad Międzynarodową Wystawą Sztuki Współczesnej - Documenta II. Na Biennale w Wenecji w 1962 roku jego twórczości poświęcono całą salę. Wtedy też otrzymał francuskie obywatelstwo i zaczął współpracę z Manufakturą Porcelany w Sevres. Zagwarantowało mu to stabilizację finansową i ugruntowało pozycję w świecie malarstwa. Do końca lat 60. wystawiał w Europie, Azji i Stanach Zjednoczonych. Plany zorganizowania retrospektywnej prezentacji w Paryżu w Muzeum Sztuki Nowoczesnej przerwała śmierć artysty 12 października 1969 roku.

Spółeczność romska nie zdaje sobie sprawy z kariery, jaką zrobił Poliakoff w głównym nurcie malarstwa światowego. Mało osób wie również, iż przez całe życie był on wierny swoim romskim i rosyjskim korzeniom.

Tímea Junghaus



Kompozycja

1955 rok

Olej na płótnie

Fot. Roger Viollet/East News





**Obraz wykorzystany na plakacie letnich Igrzysk Olimpijskich w Monachium,
1972 rok**

Fot. SIPA/East News



Kompozycja, 1959 rok

130 x 97 cm

Olej na płótnie

Fot. AKG/East News



Zielony i żółty

1961 rok

96,7 x 129,8 cm

Olej na płótnie

Fot. AKG/East News

Malinowski



“
**Autobus
 pełen
 przodków**
 ”

Dla Europy i Ameryki faszyzm z ludzką twarzą zawsze był do przyjęcia.

Wystarczy sobie przypomnieć ich stosunek do Hiszpanii generała Franco. Boję się, że taka sytuacja może się powtórzyć z Chorwacją - mówi pisarz

Miljenko Jergović

w rozmowie z Agnieszką Wójcińską

Miljenko Jergović
 Fot. Miodrag Trajkovic

Znajoma z Sarajewa powiedziała mi, że mieszkańcy Bałkanów nie lubią, gdy się ich pyta o tożsamość. To prawda?

- Na całym świecie członkowie większości w danym społeczeństwie chętnie mówią o swojej tożsamości, a mniejszość pytania na ten temat uważa za przejaw agresji. Czy w Polsce dobrze brzmi pytanie: Jesteś Żydem, jesteś Cyganem? Na Bałkanach ten rodzaj strachu mniejszościowego jest znacznie wyraźniejszy i dotyczy nie tylko przynależności narodowej, ale różnych tożsamości, zarówno seksualnych, jak i religijnych.

Do jakich tożsamości ludzie niechętnie się przyznają?

- W dzisiejszej Chorwacji powiedzieć: Jestem muzułmaninem, to nie problem. Ale przyznać się do ateizmu już tak. Chorwaci, którzy mają babkę Serbkę, na ogół to zatają. Bo trzeba mieć czystą genealogię, wykazać się wyłącznie chorwackimi przodkami. To rodzaj rasistowskiej obsesji. Na tym się zresztą nie kończy. Bardzo żywo traktowane są tożsamości regionalne. Jeśli na przykład mieszka się w Zagrzebiu, dobrze jest ukryć to, że się urodziło w Hercegowinie, jeśli się mieszka w Splicie, dobrze zataić, że jest się z Zagrzebia. Naprawdę wiele osób to ukrywa. Co nie jest proste, bo po języku łatwo poznać lokalną przynależność. Ludzie o mniejszościowej tożsamości starają się usilnie mówić tak jak większość, próbują z własnego języka wyrzucić wszystko to, co regionalne. Straszliwa forma mentalnej autodestrukcji. Bo kiedy już się uda, człowiek może tylko milczeć.

Pan mieszkał kiedyś w Sarajewie, dziś w Zagrzebiu. Udowadniał pan za wszelką cenę, że jest prawdziwym zagrzebianinem?

- Nie. Po pierwsze, gdy się przeprowadziłem, byłem już dojrzałym człowiekiem. Po drugie, dostosowywanie się do większości byłoby dla mnie poniżające, skoro nie istniała żadna praktyczna potrzeba, która by za tym przemawiała. Przecież nie zamieszkałem na Węgrzech ani w Polsce. W Zagrzebiu mój język jest doskonale zrozumiały. Po trzecie wreszcie, mam mniejszościowy charakter. W Sarajewie Chorwaci stanowili przed wojną w latach 90. tylko 15 procent mieszkańców. Dorastałem więc jako członek mniejszości, a duchowo, emocjonalnie i intelektualnie była to sytuacja korzystna. Nie wiem, jak to jest być większością, wszelkie formy większości mnie odzracają.

W kraju, w którym dobrze jest ukryć niewłaściwych przodków, pan rozgrzebuje historię rodziny i pisze „Ojca”, który ostatnio ukazał się po polsku. Jakie były reakcje?

- Wolałbym, gdyby ta książka została zupełnie przemilczana, nie musiałbym odpowiadać na napaści. A było wiele ataków. Co ciekawe, „Ojciec” nie sprowokował żadnej dyskusji o przeszłości, o ruchu ustaszowskim. Czemu? Przywołałam Majakowskiego: „Trudno wbić miękkie słowo w twarde ucho”. W Chorwacji o tym się po prostu nie rozmawia.

Na spotkaniu autorskim w Warszawie zacytował pan pewnego belgradzkiego genetyka. Mówił, że człowiek to autobus pełen przodków. Jak pan to rozumie?

- Czy myślimy o nich, czy nie, mamy tych przodków w sobie. Jesteśmy połączeniem genów, własnego doświadczenia, no i pewnie trochę przypadku.

A gdy ma się przodków chorwackich?

- To bierze się odpowiedzialność. Oprócz niej nic mnie nie interesuje - duma narodowa, herb i flaga, zwycięstwa sportowe.

W „Ojcu” pisze pan: „Odpowiedzialność za ludobójstwo dokonane w NPCH [Niepodległym Państwie Chorwackim - red.] na Serbach, Żydach i Romach także jest częścią zbiorowej odpowiedzialności. Ponoszą ją ci, którzy w tamtym czasie byli Chorwatami, ich dzieci, wnuki, prawnuki, zawsze bez względu na to, czy byli faszystami, czy antyfaszystami, a nawet bez względu na to, czy ich bliscy zostali zabici razem z Serbami, Żydami i Romami”. Czy człowiek ma szansę, żeby jednak być po stronie niewinności?

- Człowiek jest po stronie niewinności, jeśli czuje odpowiedzialność za zbrodnie. Nie można twierdzić: Nie jesteśmy winni, bo urodziliśmy się później, myślimy inaczej. Zbrodnie popełnione w naszym imieniu są częścią naszego narodowego DNA. Nie można być Niemcem Goethego, a nie być Niemcem Hitlera. Nie można być Polakiem i nie odpowiadać za polski antysemityzm. Weźmy Willy'ego Brandta, socjaldemokratę i kanclerza w powojennych Niemczech. W momencie objęcia władzy przez Hitlera wyemigrował do Norwegii, działał w antynazistowskiej konspiracji. Nigdy nie kolaborował. Jako osoba prywatna nie był nic winien Polakom ani Żydom, ale jako Niemiec klęknął w 1970 roku pod warszawskim pomnikiem Bohaterów Getta i przeprosił za popełnione na narodzie żydowskim zbrodnie. To była jego niemiecka odpowiedzialność.

A odpowiedzialność chorwacka?

- Trudno nie pamiętać, co spotkało Żydów w Bośni, Hercegowinie i Chorwacji w czasie drugiej wojny światowej. Mamy z tym zupełnie inny problem niż Polacy. W końcu Auschwitz to był niemiecki obóz koncentracyjny. A naszych Żydów w ogromnej większości zamordowano w chorwackich obozach, do których nigdy nie wszedł żaden Niemiec.

W tych obozach ginęli również Romowie.

- W ich przypadku klasyczne ludobójstwo miało dodatkowy straszliwy element. Serbowie, komuniści i Żydzi byli przed śmiercią rejestrowani z imienia i nazwiska, Romów zaś zabijano bezimiennie. Ginęli jak zwierzęta. Nawet nie można sobie wyobrazić liczby pomordowanych Cyganów.

Wielu Romów padło także ofiarą czystek etnicznych w czasie wojen lat 90.

- Wówczas jednak żadna nacjonalistyczna grupa nie była opętana chęcią eliminacji Romów. Zabijano ich w sposób niezorganizowany, przy okazji.

Ginęli raczej jako sąsiedzi, niż grupa etniczna?

- Tak, choć były też przypadki zabijania Romów z powodów rasistowskich. Najwięcej w ostatniej z naszych wojen, w Kosowie w 1999 roku. Romowie stali się ofiarami Serbów i przede wszystkim Albańczyków, którzy zabijali ich jako obcy element. O tym w Europie nigdy się nie pisało ani nie mówiło, bo Europa w tej wojnie stała po stronie Albańczyków.

“
Młodzież i
pionierzy kochali
towarzysza Tite,
ale Romowie
kochali go
dziesięć
razy bardziej.
Ta przesada była
zabawna

Jaki stosunek do Romów ma przeciętny Chorwat?

- Romów jest u nas znacznie mniej niż na przykład na Węgrzech, więc nie powstała zła zbiorowa obsesja na ich punkcie. Są poza zasięgiem zainteresowania ekstremalnej prawicy. Ale istnieją silne uprzedzenia, nawet u ludzi, którzy nie są nacjonalistami. Strach, żeby ktoś, kto wygląda na Roma, czegoś im nie ukradł. Działa też prymitywny przesąd, przenoszony z pokolenia na pokolenie, że Romowie kradną dzieci i robią z nich małych Cyganów. Taki elementarny przejaw nienawiści do Romów. Podobny do wiary, że Żydzi robią macę z krwi chrześcijańskich dzieci.

Romskie postacie w pana powieści „Srda śpiewa o zmierzchu w Zielone Świątki” to żebrak bez nogi albo muzykanci. Dość schematyczne.

- Rejestruję fakty społeczne, a w naszym bałkańskim świecie Romowie są silnie zestereotypizowani. To po części skutek społecznej dyskryminacji, a po części ich własnej decyzji. Po prostu takie sposoby przeżycia wybierają.

Pamięta pan Romów z Sarajewa swojego dzieciństwa?

- Zawsze było ich pełno. Drobni kryminaliści i złodziejaszki, zajmowali się handlem i przemycem, a ich dzieci, gdy byliśmy mali, potrafiły wobec nas stosować przemoc. Romowie przychodzili grupami na poranki filmowe i głośno komentowali akcję. Uwielbiali westerny. Weseli, pozytywni ludzie, ciągle na czymś grali. Upiększali nasze dzieciństwo, wnosili element humoru. Młodzież i pionierzy kochali towarzysza Titę, ale Romowie kochali go dziecięcy raz bardziej. Ta przesada była zabawna. Dzieciom dawali nieprawdopodobne imiona: Sandokan, Tarzan, Janosik. Masowo też próbowali nazywać je Tito. Oczywiście gminni urzędnicy robili wszystko, żeby do tego nie doszło. Choć pamiętam dwóch Cyganów z Sarajewa, urodzonych w latach 70., o imieniu Tito.

A czy pan i pana koledzy bawiliście się z małymi Romami?

- Nikt nam tego nie zabraniał. Kolegowaliśmy się gdzieś do 10. roku życia, kiedy różnicują się zainteresowania i zapada decyzja, kto w przyszłości pójdzie na studia, kto zostanie robotnikiem, kto skończy w więzieniu.

Jak Romowie potraktowali rodzącą się państwowość po ostatniej wojnie?

- Absolutnie przystosowawczo. Najpierw byli doskonałymi dezertkami. Gdy zaczęła się wojna, nie dało się ich zmobilizować, rozpierzchli się po całej Europie. We Włoszech i Niemczech spotykało się masę naszych uchodźców cygańskich. Żebrali na to, że są z Sarajewa. Po wojnie niepostrzeżenie wrócili, a w nowej sytuacji też zachowują się racjonalnie. I trochę więcej wędrują. Lubią pojechać latem za granicę, do Włoch czy Niemiec, zarobić trochę pieniędzy i jesienią wrócić do domu. Przed wojną tego nie robili.

W „Srdzie...” pisze pan o Romach, że nie są obcy tylko wtedy, gdy wędrują.

- Cyganie-nomadzi to najbardziej tragiczny europejski naród. Ograniczając ich wędrowniki i przemocą zatrzymując w miejscu, odbiera się im tożsamość. W Europie, jaką sobie wyobrażam, Cyganie mają europejskie paszporty, z

“
Być Cyganem to
u nas wstyd,
nawet większy
niż być
homoseksualistą.
A być
homoseksualistą
to w Chorwacji
wstyd straszliwy
”



Milijenko Jergović

Rocznik 1966. Chorwacki pisarz i publicysta, którego prozę i poezję tłumaczono na wiele języków i wielokrotnie nagradzano. W Polsce opublikował pięć książek, w tym powieści „Ruta Tannenbaum” (nominowana do Literackiej Nagrody Europy Środkowej Angelus) i „Srda śpiewa o zmierzchu w Zielone Świątki” (laureatka Angelusa w 2011 roku) oraz ostatnio esej autobiograficzny „Ojciec”.

Mieszka w Zagrzebiu

Fot. Ivan Posavec

którymi swobodnie się poruszają i obozują, gdzie chcą. Bez zgłaszania pobytu i zezwoleń.

Romowie to dziś główny, być może najważniejszy temat Europy. W XX wieku pod postacią faszyzmu przekroczono granicę człowieczeństwa wobec Żydów. W Europie XXI wieku to samo dzieje się w stosunku do Romów. Prezydent Sarkozy proponował czipowanie romskich imigrantów, żeby po deportacji utrudnić im powrót do Francji. Znaczna część Europy nie zauważyła wtedy, co się święci. Przeróżające, bo przecież nie ma żadnej różnicy między tym pomysłem i obozowym numerem oświęcimskim. Przynajmniej przestał być prezydentem, ale nieszczęście polega na tym, że nikt nie zorientował się w porę, jakim był idiotą. A stało się tak, bo inne kraje europejskie bardzo przypominają Francję.

W Chorwacji Rom to też wstydliva tożsamość?

- U nas, jeśli jakiś Rom się wzbogaci albo skończy studia, przestaje się przyznawać do pochodzenia. Znam tylko dwa wyjątki od tej reguły. Jednym jest poseł, przedstawiciel mniejszości romskiej, nauczyciel wychowania fizycznego i były mistrz w sztukach walki, autor pierwszego chorwacko-romskiego słownika. Drugim pewna młoda zagrzebska farmaceutka. Być Cyganem to u nas wstyd, nawet większy niż być homoseksualistą. A być homoseksualistą to w Chorwacji wstyd straszliwy.

Ze względu na kult macho?

- Nie chodzi o to, że Chorwaci są macho, tylko że są wierzącymi katolikami. Katolicyzm z zasady piętnuje homoseksualizm. U nas 90 procent kierowców ma różaniec na lusterku wstecznym. OK, ten różaniec służy jako ozdoba, bo nasz katolicyzm jest dekoracyjny, ale niestety, bywa także alibi dla wszelkiego rodzaju terroru.

Na spotkaniu z czytelnikami w Warszawie powiedział pan, że Chorwacja musi bardzo uważać, by nie pójść w stronę Węgier Viktora Orbána. Czego dotyczą te pana obawy?

- Boję się, że w Chorwacji pojawi się forma faszyzmu do zaakceptowania przez Europę po naszej akcesji do Unii w lipcu tego roku. Takie niebezpieczeństwo istnieje. Dla Europy i Ameryki faszyzm z ludzką twarzą zawsze był do przyjęcia. Wystarczy sobie przypomnieć ich stosunek do Hiszpanii generała Franco, która była klasycznym krajem faszystowskim, niewiele różniącym się od Włoch Mussoliniego. Sytuacja może się powtórzyć z Chorwacją. Przypadek Węgier Orbána pokazuje, że do UE obok państw wzorowych z punktu widzenia demokracji mogą należeć i takie, w których odbywają się faszystowskie marsze przeciw Romom, a członków tej grupy się zabija. Myślę zresztą, że właśnie to odwrócenie się od własnych wartości założycielskich, a nie kryzys euro czy niewypłacalność Grecji, to dziś największe zagrożenie dla Unii.

Rozmawiała Agnieszka Wójcińska

Tureckie metry kwadratowe

☀ W niemieckim filmie środowisko pogranicza kultur przestało stygmatyzować, a etniczność stała się jednym z wielu elementów tożsamości

Tomasz Marcin Wrona

Kiedy Fatih Akin w 2004 roku zdobył Złotego Niedźwiedzia za „Głową w mur”, w Berlinie zapanowała radość, bo po 18 latach nagrodzono wreszcie film niemiecki. Pojawiła się również konsternacja. Niby niemiecki, ale część zdjęć kręcono w Turcji, dialogi są po niemiecku i po turecku, główne role grają aktorzy pochodzenia tureckiego, a sam reżyser, chociaż Niemiec, bo urodzony w Hamburgu, jest z pochodzenia Turkiem. Niemieckie media próbowały sklasyfikować „Głową w mur” i mówiły o początku kina etnicznego. Jednak w Niemczech kino turecko-niemieckie ma o wiele dłuższą historię.

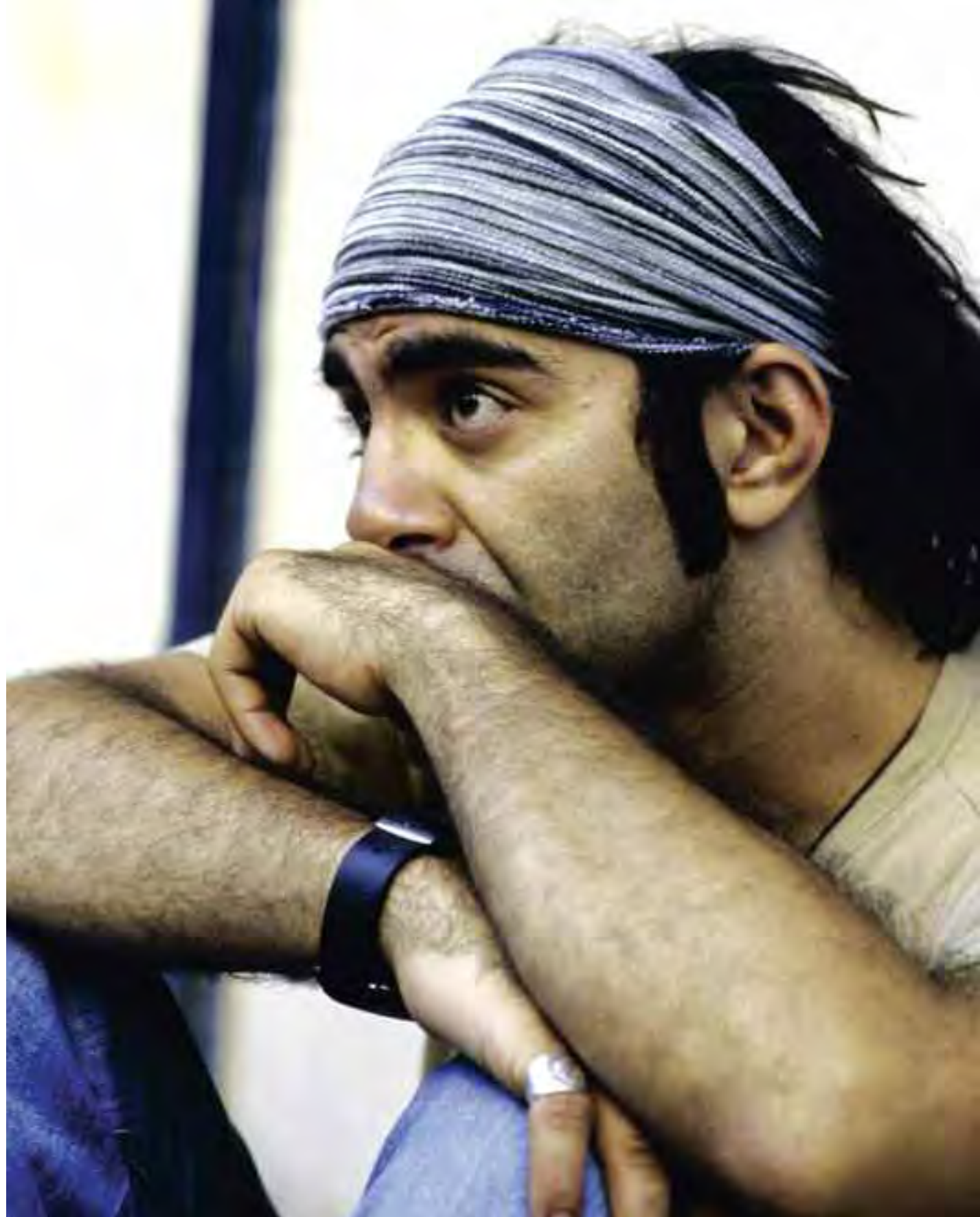
Od zderzenia do współistnienia

Za pierwszy dramat filmowy o tureckich imigrantach uważa się „Shirins Hochzeit” (Wesele Shirin) w reżyserii Helmy Sanders-Brahms z 1975 roku. Tytułowa Shirin (w tej roli Ayten Erten) ucieka przed zaaranżowanym małżeństwem do Niemiec, gdzie chce odnaleźć Mahmuta - miłość z dzieciństwa. Zatrudnia się jako sprzątaczką, a gdy zostaje zgwałcona, traci pracę i trafia na ulicę. Podejmuje trudną decyzję o opuszczeniu Niemiec po tym, jak widzi śmierć swojego alfonsa zadźganego przez kumpli. Ale nim zdąży wyjechać, zostaje zastrzelona. Film przedstawiał los gastarbeiterów w nieprzyjaźnie nastawionym społeczeństwie. Warto podkreślić, że istotny wpływ na scenariusz miał aktor Aras Ören, który zagrał jedną z ról.

Po tym filmie przyszły kolejne: nagrodzony w Cannes „Angst essen Seele auf” w reżyserii Rainera Wernera Fassbindera (Strach zżerać duszę, 1974), „Zuhause unter Fremden” Petera Keglevica (W domu wśród obcych, 1979) czy dokument „Die Kummeltürkin geht” Jeanine Meerapfel (tytuł nieprzetłumaczalny, 1984). Produkcje te były nie zawsze obiektywnymi reakcjami na rzeczywistość społeczną. Ukazywały problemy imigrantów dość stereotypowo, z niemieckiego punktu widzenia, bo twórcy byli Niemcami. Jednak

Fatih Akin na planie filmu
„Na krawędzi nieba”, 2007 r.

Fot. East News



samo zainteresowanie imigrantami odegrało znaczącą rolę.

W latach 80. zabrali głos tureccy absolwenci niemieckich szkół filmowych. Sięgnęli do osobistych doświadczeń związanych z funkcjonowaniem w dwóch tak bardzo różnych kulturach. Do grupy tej należała Semie Poyraz, absolwentka Niemieckiej Akademii Filmowej i Telewizyjnej. Uważa się, że już jej praca dyplomowa z 1980 roku „Gölge - Zukunft der Liebe” (Gölge - przyszłość miłości) wniosła ducha nowoczesności do kina turecko-niemieckiego. W 1985 roku międzynarodową sensację wywołał film Tevika Başera „40 qm Deutschland” (40 metrów kwadratowych Niemiec), zdobywca Srebrnego Lamparta na festiwalu w Locarno.

Tytułowe 40 metrów kwadratowych to mieszkanie i zarazem cały świat głównej bohaterki Turny. Po śmierci męża Turna próbuje powoli skonfrontować się z wrogą rzeczywistością niemiecką, którą do tej pory obserwowała jedynie przez okno. Film Başera to nie tylko obraz kobiety tureckiej wrzuconej w obce realia, ale i opowieść o utraconych nadziejach na lepszy los w raj, jakim dla gastarbeiterów miały być Niemcy.

Aż do połowy lat 90. dzieła filmowe z nurtu niemiecko-tureckiego uwypuklają wrogość relacji, odmienność i trud funkcjonowania w dwóch kulturach.

W końcu XX wieku wielokulturowość stała się tłem dla narracji bardziej uniwersalnych, nie dotykających bezpośrednio imigrantów i ich wychowywanych w Niemczech dzieci. Dobrym przykładem jest twórczość Thomasa Arslana. W swoim pierwszym filmie „Mach die Musik leiser” (Ścisz muzykę, 1994) portretuje grupę nastolatków z Zagłębia Ruhry, a w telewizyjnym „Der schöne Tag” (Piękny dzień, 2001) przedstawia jeden dzień z życia Deniz. Główna bohaterka, która w środowisku dwukulturowym czuje się jak w domu, to bardziej przedstawicielka pokolenia niż mniejszości. Z kolei „Lola und Bilidikid” (Lola i Bilidikid, 1999) Kutluğa Atamana jest portretem transwestyty pochodzenia tureckiego i jednocześnie obrazem społeczności imigranckiej w Berlinie pokazanym od strony seksualności.

W filmie środowisko pogranicza kultur przestaje już stygmatyzować, a etniczność to tylko jeden z wielu elementów tożsamości.

Diabelska pieśń Fatih Akin

W „Głową w mur” Akin głośno pyta o własną tożsamość i opowiada budzącą kontrowersje historię. Cahit, mężczyzna tureckiego pochodzenia, dokonuje próby samobójczej. Po odratowaniu musi spróbować żyć od nowa. To niełatwe, dlatego swoje nieszczęścia topi w alkoholu i narkotykach. Sibel jest muzulmanką i chce wyzwolić się spod władzy rodziny. Nieudane samobójstwo okrywa ją hańbą. Teraz jedynym ratunkiem jest dla niej małżeństwo. Sibel prosi Cahita, by wziął ją za żonę; on się zgadza. Niestety, finał okazuje się tragiczny.

Akin stworzył w filmie rzeczywistość transkulturową, w której mieszają się języki, przestrzenie, wartości i światopoglądy. Brutalnie zderzył kulturę niemiecką i turecką, ale ich nie oceniał, obie strony postawił na równi i pozwolił im komentować wydarzenia. Temat tożsamości reżyser podjął również w głośnym dramacie „Na krawędzi nieba” („Auf der andere Seite”, 2007). I znów pytał, ale nie udzielał odpowiedzi, zachęcając widzów do spojrzenia na liczną turecką mniejszość bez uprzedzeń, z nowej perspektywy.



Kadry z filmu „Głową w mur”,
2004 roku.
Fot. East News

W twórczości Akin warto zwrócić uwagę na film „Die alte, bösen Lieder” (Stara diabelska pieśń, 2004), który reprezentował Niemcy w „Wizjach Europy”. Ten gigantyczny projekt stworzony przez Zentropę (firmę produkcyjną założoną m.in. przez duńskiego reżysera Larsa von Triera) był bardzo prosty. 25 uznanych reżyserów z 25 krajów UE ma przedstawić własną wizję Nowej Europy. Obowiązywała całkowita dowolność artystyczna, filmy mogły dotyczyć teraźniejszości lub przeszłości, a jedynym ograniczeniem był czas: tylko pięć minut.

W klipie Akin aktorka Idil Üner śpiewa pieśń Roberta Schumanna z tekstem Heinricha Heinego. Wiersz jest romantycznym apelem, by porzucić stare wartości. To swoiste rozliczenie się z historią mocno zabrzmiało w ustach artystki o turecko-niemieckich korzeniach. W muzyce brzmiały motywy tureckie, utwory chóru męskiego nawiązywały do pieśni nazistowskich, a aranżacja, która łączyła alternatywne, niekonwencjonalne brzmienia z klasycznymi instrumentami orkiestrowymi, wybrzmiała w nowy, świeży sposób.

Fakt, że kinematografię Niemiec reprezentował Fatih Akin, nobilitował cały nurt europejskiego kina etnicznego. Sygnalizował, że Akin to po prostu ważny przedstawiciel młodego pokolenia reżyserów niemieckich. Bez przymiotników: etniczny, turecki.

Turcy i Niemcy w zwierciadle

Coraz więcej artystów turecko-niemieckich sięga po formy komediowe i wielokulturowy żywioł pokazuje w krzywym zwierciadle. To kolejny dowód ich doświadczenia, możliwości i energii. Yasemin Samdereli w 2011 roku nakręciła „Almanya - Willkommen in Deutschland” (Almanya - witamy w Niemczech, 2011). Film opowiada historię wielopokoleniowej rodziny, której nestorem był gastarbeiter Husein. Scenariusz wypełniony elementami retrospekcji reżyserka napisała ze swoją siostrą Nesrin. Jego siłą stanowi genialna żonglerka stereotypami, przede wszystkim opiniami Turków o Niemcach. Skoro się śmiejemy, śmiejemy się ze wszystkich. W jednym z wywiadów Samdereli stwierdziła: „Czasem czuję się bardziej Turczynką, innym razem Niemką, w zależności od otoczenia. Myślę, że to rzecz bardzo osobista. Każdego człowieka definiuje więcej niż jeden czynnik, a bycie zbiorem wielu części jest normalne”.

W niemieckim kinie etnicznym artyści z grup dwukulturowych odnieśli ogromny sukces i mają pełnoprawny głos w kulturze narodowej. Okazuje się, że obywatele RFN o tureckim pochodzeniu nie są jedynie obciążeniem dla systemu socjalnego, o czym przekonana jest większość Niemców. Kolejne pokolenia grup napływowych będą wzbogacać ich kulturę.

Tomasz Marcin Wrona

Dyrygent usidlony

☼ 27 stycznia, tuż po godzinie 18, na deskach krakowskiej Filharmonii im. Karola Szymanowskiego, przed chórem, solistami i orkiestrą złożoną z romskich muzyków, stanął niewysoki, ciemnowłosy mężczyzna we fraku. ☼ Riccardo Mohamed Sahiti – dyrygent. ☼ Poprowadził artystów przez półtoragodzinne „Requiem dla Auschwitz”, skomponowane przez innego muzyka romskiego pochodzenia – Rogera Moreno Rathgeba. ☼ A po zakończonym owacjach na stojąco koncercie wziął ślub z Polką, i wyprawił wesele dla swoich polskich i romskich przyjaciół

Iza Michalewicz

Riccardo Sahiti mieszka i pracuje we Frankfurcie nad Menem. Ma 52 lata i jest twórcą jedynej na świecie profesjonalnej orkiestry filharmonicznej, w której grają wyłącznie muzycy romskiego pochodzenia. Podczas krakowskiego koncertu orkiestrze towarzyszył 60 - osobowy chór i czterech solistów. Sahiti szukał muzyków do swojej orkiestry po całym świecie. W maju 2001 roku powstała frankfurcka Orkiestra Filharmoniczna Sinti i Roma, najpierw jako mały, kilkunastoosobowy projekt, który z czasem rozrósł się do 60 muzyków m.in. z Niemiec, Austrii, Rumunii i Węgier. W listopadzie 2002 orkiestra zagrała swój pierwszy koncert. Sala frankfurckiej filharmonii pękała w szwach.

Riccardo Sahiti dorastał w pobliżu Prisztiny w Kosowie. Rodzice przyszłego dyrygenta byli zamożni, więc posyłali syna najpierw na lekcje fortepianu, a potem do szkoły muzycznej w Belgradzie. Ćwiczył po 15 godzin dziennie. W 1988 roku otrzymał stypendium w Moskwie, a cztery lata później musiał już uciekać z ogarniętego niepokojami etnicznymi Kosowa. Trafił do Frankfurtu. Starał się o przyjęcie do jakiegokolwiek orkiestry, ale wciąż mu odmawiano. - Masz wielki talent, ale nie pasujesz do nas – powiedział mu



Riccardo Sahiti podczas koncertu w Filharmonii Krakowskiej, 27 stycznia 2013 roku. Fot. Piotr Wójcik

nauczyciel w jednej ze szkół muzycznych.

- To dlatego, że jestem Romem? - spytał artysta, ale odpowiedzi nie otrzymał. Pomysł na orkiestrę filharmoniczną złożoną z romskich muzyków narodził się w nim z buntu przeciwko negatywnym stereotypom wobec romskiej społeczności. Po kilku latach, w Pradze, organizatorzy i tak mieli problem z pożyczaniem orkiestrze kontrabasów: firmy wynajmujące obawiały się, że więcej instrumentów nie zobaczą.

Riccardo Sahiti poświęcił się muzyce na wiele lat. Do pamiętnego wieczoru 27 stycznia nigdy wcześniej się nie ożenił. - Nasza znajomość przetrwała długie lata – powiedziała mi podczas wesela jego żona, Elżbieta. - Poznaliśmy się w pociągu relacji Wrocław – Warszawa, 20 lat temu. Byłam wówczas mężatką, mam dziś dorosłego już syna. Riccardo wracał z konkursu dyrygenckiego z Pragi, a ja spóźniłam się na swój pociąg. Wsiadłam więc do następnego, i w przedziale, w którym siedział, zapytałam o miejsce. Tak to się wszystko zaczęło i doprowadziło nas do dzisiejszego dnia.

Elżbieta jest dentystką, mieszka we Wrocławiu.

Uroczystość weselna rozpoczęła się późnym wieczorem, po 22. W pięknie przystrojonej sali państwa młodych, ubranych w tradycyjne krakowskie stroje (na pamiątkę tego, że poznaliśmy się w Polsce – wyjaśnili gościom nowożeńcy), powitali romscy muzycy, którzy przez całe wesele grali tak, jak tylko Romowie potrafią: skocznie i wzruszająco. Elżbieta i Riccardo złożyli sobie małżeńską przysięgę wkładając wzajemnie obrączki i tańczyli do białego rana.

I ja tam z nimi byłam, miód i wino piłam, a com widziała i słyszała, w księgi umieściłam.

Kochają mnie, bo jestem idiotą

☛ Győzike jako rzeźnik przepracował zaledwie rok, zanim rzucił tę branżę i oddał się show-biznesowi

Jerzy Celichowski

Győzike to zdrobnienie Győző, węgierskiej wersji Wiktora. To dobre imię, oznacza zwycięzcę. A zdrobnienie oddaje zarazem i sukces, i jego dość umowny charakter. Jak to bywa u celebrytów. Także jeśli są Romami.

Zaczynasz wpisywać hasło, a Google podsuwa frazy. W wypadku Győzike pierwszym skojarzeniem wyszukiwarki jest

show

Győzike to romski showman, który jeszcze do niedawna miał własny program w jednej z największych stacji telewizyjnych na Węgrzech - RTL Klub. Wzorowany był na programie MTV The Ozzbournes, który w odcinkach pokazywał życie dysfunkcyjnej rodziny byłego wokalisty zespołu The Black Sabbath.

Győzike reality show leciał w telewizji przez siedem lat i był bajecznie popularny. Z widownią dochodzącą do ponad dwóch milionów - w dziesięciomilionowym kraju! - w mgnieniu oka wdarł się na szczyty, wygrywając nawet z popularnymi serialami.

Pomysł był stosunkowo prosty. Show pokazywał Győzike i jego rodzinę: żonę Beę i dwie córki,

starszą Evelyn i małą jeszcze Virág, mieszkających w wielkiej willi z zainstalowanymi wszędzie kamerami, gdzie odgrywali codzienne życie. Na przykład: Győzike przynosi strusie jajo, żona robi z tego jajecznicę na szynce, drugie jajko wynosi Virág i próbuje wysiadywać w saunie, wszyscy na siebie krzyczą, a w tle leci muzyka z któregoś z „cygańskich” filmów Kusturicy. Albo: do willi Győzike przyszła wycieczka emerytek, a Virág ją oprowadza - za pieniądze. Albo: Győzike usiłuje zwołać rodzinę na próbę piosenki, aż wściekła Bea, której ten pomysł się w ogóle nie podoba, roztrzaskuje o podłogę odtwarzacz płyt kompaktowych.

Niektóre odcinki kręcono w egzotycznej scenerii. Pokazano na przykład, jak Győzike, który nie zna angielskiego, radzi sobie w Nowym Jorku. I jak w Kenii podziwia Kilimandżaro.

Dalej Google sugeruje

oszustwo podatkowe

Tak, Győzike niedawno skazano na rok i osiem miesięcy więzienia w zawieszeniu na trzy lata za niepłacenie podatków oraz fałszowanie dokumentów. Skazano też Beę, dostała rok i sześć mie-



sięcy. Wyrok nie jest prawomocny i zarówno obrona, jak i oskarżyciel się odwołali. Poszło o honoraria z lat 2005-2006.

Jak w innych epizodach życia Győzike i tutaj w jego wypowiedziach trudno odróżnić realność od roli w mydlanym reality. W ostatnim słowie na procesie rozwodził się, jakim przeżyciem był dla niego wyjazd do Finlandii, gdzie w Laponii spotkał się ze świętym Mikołajem i reniferami. Albo jak cieszył się ze spotkania z zebrami w Kenii - Győzike jest fanem zebr i ma mnóstwo ubrań w charakterystyczne zebrze paski.

Bea z kolei wykorzystała prawo do ostatniego słowa, by powiedzieć, że ksiądz na ślubie nie ostrzegł jej, że wchodząc w związek małżeński, automatycznie staje się współodpowiedzialna za ewentualne przestępstwa partnera: „Gdybym to wiedziała, to raczej na zawsze pozostałabym niezamężna”.

Google sugeruje też słowo

Buksi

Buksi to zapewne najsłynniejszy pies na Węgrzech. Ten akita związany był z rodziną Győzike aż do swojej śmierci, rzecz jasna znajdującej odbicie w show. Początkowo prasa pisała o okrucieństwie nieznanego sprawcy, który za tylną łapę przywiązał psa do szyny, a przejeżdżający pociąg mu ją odciął. W rzeczywistości psa w kiepskim stanie znaleźli robotnicy na budowie. Potem jednak Győzike przyznał, że z pewnych powodów - nie może ich zdradzić - kłamał w tej sprawie. Zaprzeczył jednocześnie, że pies cierpiał, bo z pomocą trzeba było czekać, aż przybędzie sztab telewizyjny.

W końcu pojawia się też

muzyka.

Bo Győzike to nie tylko telewizyjny show. Na ekranie pojawił się najpierw jako wokalista zespołu Romantic. Występował w nim w towarzystwie dwóch romskich dziewczyn. Nieraz imitował śpiew, zastępując swój głos playbackiem. Zespół grał muzykę dyskotekową przyprawioną czasem wstawkami w języku cygańskim. Niekiedy wysłuchać się w niej dawało klimaty Boney M czy rytmy latynoamerykańskie. Z muzyką komponowały się stroje, często bardzo błyszczące lub uzupełnione sylwestrowo przesadną peruką. Teksty pasują do muzyki.

Na przykład:

Dusznna noc, stłumione pożądanie

Od gorącej rozkoszy rozżarzone łóżko

Sto jeden szalonych dotknięć

Każdy twój pocałunek boli

Twoje wargi płoną, gdy mnie całujesz

W płomień wybucha mi krew

Gdyby tylko były słowa

By powiedzieć, co dla mnie znaczysz!

Romantic też był sukcesem. W ciągu pierwszych sześciu lat działalności (po rozpadzie grupa znów się zeszła, ale nowych płyt nie wydała) nagrała tyle płyt, że siedem z nich uzyskało status złotej, siedem - platynowej, a jedna - diamentowej. Google ma więcej sugestii. Dużo więcej. W końcu Győzike to prawdziwy celebryta, który żyje zainteresowaniem innych ludzi i jest tym, co o nim myślą czy sobie wyobrażają.

Skąd się jednak wziął nasz Győzike?

Błazen i rzeźnik

Győzike, a wcześniej po prostu Győző Gáspár, pochodzi z Nógrádmegyer w północnych Węgrzech. To dość uboga wieś i nie odznacza się niczym specjalnym. Győző urodził się w biednej rodzinie, ojciec, też zresztą Győző Gáspár, pracował jako robotnik w fabryce kuchenek w pobliskim Sajgótarján, matka natomiast w zakładzie produkującym maszyny górnicze.

Życie rodziny Gáspárov było skromne, ale marzenia małego Győző już nie. Kiedy w szkole nauczycielka kazała napisać dzieciom zadanie domowe o ich idolach, napisał o Michaelu Jacksonie. Że chciałby wejść w jego skórę, być sławnym, żeby wszyscy o nim mówili. Bo i Jackson należał do mniejszości, on też urodził się w biedzie. „Przeczytałem jego książkę” - powie potem w wywiadzie Győzike (nie byłby sobą, gdyby zaraz nie dodał: „nie lubię czytać, ale ją przeczytałem”) „i odnalazłem się w niej, poczułem, że to historia o mnie”.

Niedługo starszy Győző założył przedsiębiorstwo budowlane i w domu pojawiła się zamożność. Nadal jednak przekonanie innych, że z młodego może być showman, pozostawało problemem. Wszyscy mówili mu, że nie ma głosu, że się nie nadaje. Győző musiał się uczyć na rzeźnika. Pozostały mu wyglupy wśród kolegów, którzy doceniali jego talent do błaznowania.

Brał lekcje śpiewu w prywatnej szkole aktorskiej.

Rok zaledwie przepracował jako rzeźnik przy stoisku z mięsem na targu w Sajgótarján, zanim rzucił tę branżę i oddał się show-biznesowi - założył Romantic. Brakiem głosu się nie przejmował, w razie potrzeby uciekał się do playbacku. Pomocne były wiara we własne siły i optymizm, nie bez znaczenia wsparcie finansowe ojca.

Zakwaterowanie w terenie

Wkrótce Romantic zaczął występować w kanale TV2 i tak się zaczęła kariera telewizyjna młodego Győző. Szeroką publiczność podbił jednak nie muzyką, a zabawnym kiksem. Zaproszony do turnieju czytał zadanie i pomylił rozkrok (terpeszállás) z zakwaterowaniem w terenie (terepszállás). Oglądalność podskoczyła, co dla Győző przełożyło się na zaproszenia do innych programów. W jednym z nich popularny prezenter radiowy nazwał Győző zdrobniałym Győzike i ta ksywka już do niego przylgnęła.

Był tak popularny, że kiedy TV2 zerwała z nim umowę, Győzike jeszcze tego dnia otrzymał zaproszenie od kanału RTL Klub, gdzie powstał flagowy Győzike show.

Producent trumien

Po kilku latach sukcesów nadszedł nieuchronny spadek oglądalności programu i Győzike ogłosił, że zajmie się handlem trumnami. Otworzył sklep z piwnicy swojej willi, a w prasie pojawiły się zdjęcia uśmiechniętego Győzike w garniturze z luksusowymi trumnami w tle. Tłumaczył, że jego ojciec kiedyś zajmował się tą branżą, więc i on ma już doświadczenie.

Biznes nie przetrwał długo. Győzike tłumaczył, że żona jest przesadna, a poza tym było jakoś dziwnie, kiedy bawiąc się, jego córka biegała wokół trumien. Kłapa? Skąd, jak zawsze chodziło o to, by o nim mówiono. Choć teraz „odpoczywa”, to wróci. Bo Győzike nigdy nie zginie, musi istnieć.

Győzike to produkt

Győző ma skomplikowaną relację z Győzike. Bo to dwie różne osoby. O pierwszej mało wiadomo, o drugiej wszystko. Győzike to kreacja, błazen bawiący publiczność. Chcecie wiejskiego głupka? Stereotypowego Cygana? Proszę bardzo. W wypowiedziach dla mediów Győzike wypiera Győző, bo tak ciekawiej. Zamordowany pies? Opowieści

o świętym Mikołaju i reniferach na procesie? Klótnie z żoną? Próba samobójcza? Operacja plastyczna? Żona w ciąży? Kochanki? Niepłacone podatki? Start w wyborach na burmistrza? Wypadek samochodowy? Skąd ma czerwone ferrari? Będzie paplał, byle tylko o nim mówili.

W jednym z nielicznych wywiadów, kiedy to Győző bierze górę, showman mówi o swoim sukcesie i o stosunkach z publicznością. Marnie być dziś Cyganem na Węgrzech, ale on swój sukces zawdzięcza jednak pochodzeniu. „Kochają mnie, bo jestem idiotą”. Czemu jeszcze? Bo jest trochę inny. Bo miał odwagę zrobić to, o czym inni tylko marzą. Bo jest takim fajtlapą, jakim i oni bywają. Nieporadny, prostacki. Śmieją się z niego, ale i z nim. „Ma być show, to jest show” - dodaje już trochę jako Győzike.

Ile w show Győző, a ile Győzike? Tego nikt się nigdy nie dowie. „Tyle tylko zwykle mówię, że Bea to aktorka, a Győző to aktor”.

Wielu jednak Győzike irytuje. Uważają, że swoim show wzmacnia

stereotyp Cygana,

który jest prymitywny, głośny, chciwy, kłótniwy. Że Győzike dla pieniędzy i z chęci pokazania się szkodzi obrazowi Romów. Wprawdzie Győző podkreśla, że to tylko show, że Győzike to tylko wymyślona postać, ale nie wydaje się, żeby przeciętny widz był zdolny do takiego rozróżnienia. A że w mediach i w życiu publicznym nie ma Romów, Győzike pozostaje jedyną ich reprezentacją.

Sam Győzike się tym wszystkim nie przejmuje. „Jestem, dzięki Bogu, świetnym produktem” - utrzymuje. I tylko czasem wychodzi z niego wiejski chłopak, prosty Rom, który zgrywa się, żeby realizować dziecięce marzenia. I mieć pieniądze na edukację córki za granicą. Dla dzieci chce już innego losu.

Jerzy Celichowski

Polska tolerancja? To złudzenie

☸ W Polsce problem rasizmu nie istnieje w dyskursie publicznym, jest też maskowany poprzez podnoszenie innych problemów, takich jak bezrobocie czy bieda. ☸ Rasa i pochodzenie etniczne, w szczególności żydowskie, jest tematem tabu, a rasizm i supremacja białych występują w sposób podskórny, choćby w promowaniu słowiańskiej wspólnoty - pisze dr Adam Bulandra, kryminolog, ekspert prawa migracyjnego, członek Zarządu Stowarzyszenia INTERKULTURALNI PL w Krakowie

Adam Bulandra

Przy okazji Euro 2012 odżyły pytania o rasizm polskiego społeczeństwa. W zachodnich mediach mnożyły się publikacje i dyskusje na ten temat, a ich kulminacją stał się wyemitowany przez BBC dokument „Stadiony nienawiści”.

Od jakiegoś czasu - z pewnością od katastrofy smoleńskiej - obserwujemy wzrost radykalizmów po prawej stronie sceny politycznej, które objawiają się podczas różnych zgromadzeń publicznych. Od dwóch lat rosną na przy-



Uczniowie łódzkich szkół średnich zamalowują wulgarne, rasistowskie napisy w ramach akcji Kolorowa Tolerancja, 22 marca 2010 r.
Fot. Cezary Pecold/SE/East News

kład napięcia podczas Święta Niepodległości, kiedy manifestacjom towarzyszą starcia między tzw. ruchem narodowym a tzw. ruchem wolnościowym. Manifestacje ruchów narodowych czy związanych z polityczną prawicą albo skupionych wokół Radia Maryja często obnażają nienawiść wobec pewnych grup narodowościowych lub otwarcie deklarują przywiązanie do jednonarodowego charakteru państwa.

Antysemityzm żywi się sam

Konflikt społeczny w ten sposób tworzony i nierozładowywany przez władzę państwową sprawia, iż kielkujące dotychczas „w podziemiu” elementy nacjonalistyczne zyskują coraz więcej sympatyków i niebezpiecznie zbliżają

się do głównego nurtu życia społecznego. Poparcie, jakie zyskują, wzmacnia ich antysystemowe poglądy, pewność siebie i własnego zaplecza, a ponadto rodzi pokusę aspiracji czysto politycznych, których osiągnięcie nie jest możliwe demokratycznymi metodami. W przestrzeni publicznej, która ulega zawłaszczeniu przez radykalny nacjonalizm, kurczy się zawsze sfera otwartości na różnorodność i wielokulturowość.

Czy nasze społeczeństwo ma problem z akceptacją innych ras i narodów? Ze strony polityków i elit słychać nieustanne zaprzeczenia. Przywołują historyczne tradycje słynnej polskiej tolerancji, kultywowanej rzekomo do dziś. Jednak w zderzeniu z konkretnymi przykładami ów mit szybko ulatuje, pozostają zaś wrażenia Polski jako kraju nienawistnych napisów na murach, kultywującego antysemickie poglądy, podszytego katolickim ekstremizmem i czystym rasizmem stadionów piłkarskich.

Skąd zatem to samozadowolenie narodu otwartego i tolerancyjnego, choć w porównaniu z Europą Zachodnią nasz poziom tolerancji jest zastraszająco niski, szczególnie wśród elit politycznych?

Przyczyn jest kilka. Najważniejszą jest brak jasnej i przejrzystej definicji rasizmu. Jak świetnie określił to dr Łukasz Ostrowski, zaczyna ona odrywać się od biologicznego pojęcia rasy ludzkiej, obejmując coraz więcej obszarów związanych z tożsamością kulturową, płciową czy nawet przynależnością ściśle grupową, lokalną. To daje pravicowym publicystom i politykom pretekst do ośmieszania pojęcia rasizmu i deprecjonowania ruchów antyrasistowskich lub spychania ich w stronę radykalnych ruchów społecznych.

Kolejną przeszkodą w postrzeganiu rasizmu jako realnego problemu jest fakt, że nienawiść rasowa i etniczna niekoniecznie dotyka osób, którym można przypisać odmienność etniczną. Kwestia ta ma szczególne znaczenie dla postrzegania polskiego antysemityzmu. Argumentuje się, że w Polsce nie może być antysemityzmu, gdyż w naszym kraju nie ma już praktycznie społeczności żydowskiej. To złudzenie, gdyż jak tłumaczy Alina Cała w najnowszej książce „Żyd, odwieczny wróg”, antysemityzm jest konceptem zamkniętym, który żywi się sam. W tym sensie żydowskość staje się pejoratywnym epitetem, etykietą, która służy piętnowaniu ludzi, których nie tolerujemy.

Na tej właśnie zasadzie żydowskość jest wykorzystywana do wojen między chuliganami stadionowymi w Krakowie czy Łodzi. Krótki epizod historyczny, wiążący określony klub z Żydami, spowodował trwałą stygmatyzację oraz nadanie ich sympatykom etnicznego piętna wbrew ich rzeczywistej etniczności.

W rywalizacjach kibiców sympatie klubowe dzielą terytorium miasta zgodnie z zasadami przynależności „plemiennej”. W tym sensie potrzeba rywalizacji, identyfikacji i dominacji grupowej koncentruje się wokół ideologizacji symboli danego klubu sportowego - jego emblematów, nazwy, barw oraz tożsamości historycznej. Rywalizacja opiera się na negowaniu tożsamości i odrębności innego klubu, podsycając nienawiść, która narasta do wynaturzonych rozmiarów i staje się podstawą „świętej wojny”. Prowadzi ona do aktów agresji - ciężkich pobić, a nawet zabójstw członków innej grupy.

„Plemiennosc” zalicza tego typu rywalizację do zachowań rasistowskich nawet wtedy, gdy przeciwnik nie podlega etnicznej stygmatyzacji. Takich zjawisk nie można zatem ignorować, zwłaszcza że trwale zaznaczają się w przestrzeni publicznej.



Członkowie skrajnych, narodowych organizacji podczas Marszu Niepodległości. Warszawa, 11 listopada 2012 roku. Fot. Krystian Dobuszyński /REPORTER/East News

Zachowania rasistowskie o charakterze społecznym i instytucjonalnym zaczęły być w naukach społecznych i prawnych uważane za przejawy nieporządku i czynniki sprzyjające przestępczości oraz rozkładowi stosunków miejskich, czego konsekwencją jest obniżenie jakości życia mieszkańców terytorium dotkniętego takim problemem.

Poziomy nienawiści

Trzeba rozgraniczyć dwa poziomy rasizmu: zachowań społecznych oraz instytucjonalny. Ten pierwszy wynika ze stosunków pomiędzy grupami mieszkańców i przejawia się w negatywnych zachowaniach, poglądach, uprzedzeniach i stereotypowym postrzeganiu określonych grup mniejszo-

ściowych przez grupy dominujące. Opiera się także na konflikcie społecznym, przy czym zwykle rasistowskie działania podejmuje ekstremalna mniejszość przy biernej postawie większości. Ta bierność wyznacza skalę poglądów rasistowskich i nietolerancji przypisywanych danemu społeczeństwu, tworząc odium, którego bardzo trudno się pozbyć. Przekonaliśmy się o tym podczas turnieju Euro.

Prawdziwym problemem jest jednak rasizm instytucjonalny, gdyż prowadzi bezpośrednio do dyskryminacji, wykluczenia społecznego oraz braku równego dostępu do usług i świadczeń. Wynika on najczęściej z głęboko zakorzenionych uprzedzeń i przekonania o niższym statusie społecznym osób o innym pochodzeniu. Może również stanowić pożywkę aspiracji politycznych niektórych grup lub jednostek. Nie akceptują oni układu sił politycznych, dążą do dzielenia społeczeństwa na „my” - „oni”. Mechanizm ten opisał Zygmunt Bauman, wskazując, iż łatwiej jest kategoryzować ludzi poprzez różnice, a nie podobieństwa.

Jeśli przepisujemy jednostkę lub jednostki z kategorii „my” do kategorii „oni” na podstawie jednej cechy różnicującej, być może nietrwalej i niezbyt istotnej, ale łatwej do opisanie (jak religia, kultura), natychmiast pojawia się tendencja do uznawania takiej cechy za dowód i źródło obcości. Może być to antysemityzm, „antypolski” układ beneficjentów Okrągłego Stołu albo inna etykieta stygmatyzująca i wykluczająca. Istotne jest w tego rodzaju nienawiści dążenie do zniszczenia podmiotu własnej niechęci, usunięcia go przemocą ze sfery, którą chciałoby się skolonizować.

Z tego rodzaju jawną i niebezpieczną motywacją mieliśmy do czynienia podczas ostatniego Marszu Niepodległości, który zaowocował deklaracją powołania nowego ruchu niepodległościowego, dążącego do obalenia demokratycznej władzy. Tolerancja, czy też bierność wobec tego typu deklaracji przedstawicieli oficjalnych organizacji i stowarzyszeń obnaża słabość struktur demokratycznych, niski poziom ochrony praw i wolności. A to może prowadzić do aktów indywidualnej przemocy politycznej, takiej, jaka zdarzyła się w Norwegii, i takiej, jaka została udaremniona niedawno także w Polsce.

Antyrasizm - zadanie dla samorządu i państwa

Walka ze stereotypami rasowymi i etnicznymi na obu poziomach wymaga narzędzi o charakterze symbolicznym, które pozwolą przełamać przekonanie, iż problem nie istnieje lub jest na tyle marginalny, iż nie wymaga szczególnych działań. Kształtowanie polityki antyrasistowskiej staje się dziś jednym z najważniejszych zadań samorządu lokalnego i państwa.

Antyrasizm powinien być rozumiany jako ideologia lub sposób kształtowania stosunków społecznych w oparciu o zasadę równości i różnorodności i zwalczanie wszelkich form dyskryminacji, natomiast nie radykalny, lewicowy czy anarchistyczny ruch społeczny. Jest to pozytywny projekt zmierzający do stworzenia społeczeństwa żyjącego we wspólnocie, przy zachowaniu harmonii i wzajemnego szacunku. Nie powinien być zatem postrzegany jako postulat radykalny, antypatriotyczny czy lewacki. Antyrasizm jest konsekwencją dania pierwszeństwa prawom człowieka w kształtowaniu stosunków między władzą a obywatelami oraz między samymi obywatelami.

Sposób postrzegania kwestii rasowych w Polsce sprawia, że problem rasizmu

nie istnieje w dyskursie publicznym, maskuje się go także poprzez skupienie się na innych problemach, takich jak bezrobocie czy bieda. Rasa i pochodzenie etniczne, w szczególności żydowskie, jest tematem tabu, a rasizm i supremacja białych występują w sposób podskórny, na przykład w promowaniu słowiańskiej wspólnoty i preferencjach migracyjnych dla Słowian. Niepokojącym trendem jest budowanie polskiej tożsamości wyłącznie wokół polskości i walki o polskość prowadzonej przez Polaków i katolików. Historyczna wieloetniczność Polski jest całkowicie pomijana i w świadomości zbiorowej raczej nie istnieje.

Dopiero od niedawna pojawiają się projekty usiłujące zmienić monoetniczny i monoreligijny obraz społeczeństwa. W Krakowie Stowarzyszenie INTERKULTURALNI PL opracowało dla władz miejskich kompleksową strategię reagowania i zapobiegania zdarzeniom rasistowskim i ksenofobicznym w publicznej przestrzeni miasta. Podstawową zaletą tego dokumentu jest wyjście poza wąsko definiowaną prewencję zachowań rasistowskich w stronę budowania lokalnej polityki równości, opartej na promowaniu tolerancji, różnorodności i wielokulturowości.

Jest nadzieja, iż takie inicjatywy otworzą polskie społeczeństwo na inne kultury i zbudują w zwykłych ludziach przekonanie, iż bez sprzeciwu wobec rasistowskich wybryków nie ma mowy o rozwoju, wysokiej jakości życia i awansie cywilizacyjnym. Jesteśmy zatem na początku drogi, którą w Europie Zachodniej dawno przebyto. Czas jak najszybciej dołączyć do peletonu.

Adam Bulandra

Twarze Carmen

☸ W niemieckojęzycznej sieci wojenne zdjęcia z półnagimi Cygankami rozchodzą się szybko. ☸ Można je kupić na eBayu, na forach dla fanów wojennych pamiątek, na stronach prywatnych kolekcjonerów.

☸ Większość za bezcen

Karolina Przewrocka

Fotografia pierwsza. Cyganka jest młoda, na oko siedemnastoletnia, z cerą spaloną słońcem (a może zarumienioną ze wstydu?). Unika spojrzeniem oka aparatu, ciekawskiego, które wędruje po zagięciach jasnej chustki. I ześlizguje się w dół, po ciemnej skórze, po brodawkach piersi, które - przerażone nagłym wtargnięciem spojrzeń - próbują się jeszcze schować w zakamarkach koszuli.

Dookoła kilkanaście par męskich oczu. Niecierpliwe palce rozgarniają ubranie dziewczyny. Żołnierze: nagie torsy, czasem koszule, ten z papierosem, tamten w furazercie. Powszechna wesołość: ot, naga kobieta, ot, żołnierski psikus. Uśmiech dziewczyny. Co w nim jest - radość czy ból?

Fotografia druga. Młodziutka, bosa Cyganka, wiatr rozwiewa jej luźno spięte czarne włosy, targa kwiecistą spódnicą. Dziewczyna podnosi bluzkę, odkrywa załążki piersi. Patrzy w stronę fotografa, przygryza dolną wargę. Fotografia trzecia. Cyganka, nagie piersi, żołnierze, dzieci. Fotografia czwarta. Trzy Cyganki, nagie piersi. Fotografia piąta. Starsza Cyganka, piersi, mężczyźni, dzieci, wóz. Fotografia szósta...

Bez końca.

Targ

W niemieckojęzycznej sieci wojenne zdjęcia z półnagimi Cygankami rozchodzą się szybko. Można je kupić na eBayu, na forach dla fanów wojennych pamiątek, na stronach prywatnych kolekcjonerów. Większość za bezcen -

za zdjęcie Cyganki z rozpiętą bluzką wystarczy zapłacić kilka euro, choć niekiedy ceny szypują do kilkudziesięciu, nawet kilkuset. Kupują je kolekcjonerzy i badacze. Sprzedają antykwariusze i właściciele pamiątek po dziadkach-żołnierzach.

Na przykład Manuel z Dolnej Bawarii, który zdjęciami handluje na eBayu. Na pytania o ich pochodzenie odpowiada oszczędnie: - Nie umiem powiedzieć, dlaczego zostały zrobione w taki sposób. Moje zdjęcia pochodzą z albumów i zbiorów niemieckich żołnierzy. Na pewno powstały w czasie drugiej wojny światowej.

Enrico Bethge, antykwariusz z Turynii, wojenne zdjęcia z Cyganami sprzedaje w swoim sklepie internetowym. Często spotyka motyw półnagiej Cyganki. W e-mailu pisze o nim z pewnością specjalisty: „Nietrudno domyślić się, dlaczego je robiono! Jak w przypadku wszystkich żołnierzy świata, każda najdrobniejsza odmiana w monotonnym życiu oddziałów, które przemieszczały się albo pozostawały w głębi kraju, była atrakcyjna. Ponieważ obyczajnie Cyganów względem kobiet różniła się od naszych, w zamian za papierosy, jedzenie czy pieniądze pozwalali żołnierzom Wehrmachtu rozbierać swoje kobiety do pasa. Za pieniądze godzili się nawet na seks żołnierzy z Cygankami, który z kolei był surowo zabroniony przez wojsko”.

O tym, co łatwo przychodzi antykwariuszowi, badacze tematu opowiadają z rezerwą.

Pstryk

W biurze Instytutu Historii Uniwersytetu Humboldta przy Friedrichstraße w Berlinie studentka Henrike Voigtländer przegląda stare fotografie Cyganów. Naukowa analiza, którą przeprowadza, przewiduje na początek dokładny opis. Kto jest na zdjęciach? Kto, gdzie i dlaczego je zrobił? Z jakiej perspektywy? Jaka jest interakcja między fotografującym a fotografowanym? Czy sytuacja jest zainscenizowana, czy uchwyciono ją przypadkiem?

Henrike sprawdza opisy na grzbietach zdjęć. A więc „Skopje, rok 1941”. Lub „Rumunia, dzielnica cygańska”. Charakterystyczne motywy: muzycy, żebrak, wróżka. Domostwo, karmienie piersią, wóz-koń-ognisko. Kotlarz. Skąd Henrike wie, że opis jest oryginalny? Nie wie na pewno. Wnosi tylko: po papierze fotograficznym, atramencie, ołówku kopiowym charakterystycznym dla tamtego czasu. Nigdy nie ma stuprocentowej pewności. Jako asystentka naukowa Instytutu Historii Henrike od niedawna współpracuje przy projekcie „Fotografia w narodowym socjalizmie”, koordynowanym przez Urlicha Prehna - specjalistę w dziedzinie antycyganizmu w III Rzeszy i analityku źródeł fotograficznych z tego okresu.

Urlich Prehn: - Zdjęcia z motywem półnagiej Cyganki należą do kanonu zdjęć wojennych, z jakimi mamy do czynienia w projekcie. Choć to często spotykany temat, badacze go nie tknęli. O tych zdjęciach wiemy naprawdę niewiele. Właściwie możemy tylko spekulować.

W zbiorach Prehna wśród zdjęć z okresu wojny, na których przewijają się Cyganie, są zdjęcia niemieckich podróżników. Takich jak Martin Block, który nauczył się języka romskiego, jeździł, opisywał i fotografował życie Cyganów rumuńskich. Są też zdjęcia robione przez ludzi z Wehrmachtu: zwykłych żołnierzy lub członków kompanii propagandowych, którzy mieli relacjonować wydarzenia militarne. Dostawali konkretne rozkazy, ale przy okazji fotografowali co innego. Stąd zdjęcia pełne okrucieństw albo „tury-

styczne”, pokazujące to, co żołnierzowi wydało się ciekawe: tabor, kobieta karmiąca dziecko, wróżka. Pólnagie Cyganki.

Ulrich Prehn: - Zdjęć z Cygankami z pewnością nie robili ludzie z propagandy. To byli zwykli żołnierze, możemy ich zresztą zidentyfikować na fotografiach. Zdjęcia powstawały na pewno wbrew prawu: każdy bliższy kontakt z kobietą, która nie była Niemką, był z powodów rasowych i higienicznych zakazany. Możemy się więc domyślać, że te zdjęcia robili po cichu, a potem powielali i rozdawali kumplom. Nie powinny trafić w niepowołane ręce.

A może chodziło o co innego? Gilad Margalit, historyk i profesor z Uniwersytetu w Hajfie, przypomina, że już w czasie pierwszej wojny światowej wojsko zabraniało żołnierzom przysyłania zdjęć lub kartek pornograficznych. Zakaz dotyczył jednak tylko białych kobiet. - Tak zwane Naturvölker, ludy pierwotne, fotografowano bez ograniczeń. Do tej grupy Niemcy zaliczali Cyganów i ludzi o odmiennym kolorze skóry. Wychodzili z założenia, że nagość jest dla nich rzeczą naturalną, bez kontekstu erotycznego. Dlatego jedynymi zdjęciami pokazującymi kobiecą nagość, dozwolonymi przez niemieckie wojsko, były właśnie zdjęcia Naturvölker. Motyw „orientalnej nagości” jest zresztą częsty w fotografii i sztuce w ujęciu postkolonialnym - przypomina profesor Gilad Margalit.

Po co więc żołnierze zrobili zdjęcia Cygankom?

Ulrich Prehn: - Fotografie są często grupowe, a więc odnoszą się do jakiegoś wspólnego przeżycia. Pamiątka z wojny. Symboliczny wojenny łup. Tym cenniejszy, skoro zakazany przez wojskowe reguły i sekretny.

Uśmiech

Henrike mówi, że aby dobrze opisać zdjęcie, trzeba zostawić wiedzę, którą się ma w głowie, i spojrzeć na nie „tak od siebie”. Wydawałoby się, że w przypadku zdjęć pólnagich Cyganek to będzie łatwe: skoro nie wiadomo, kto, gdzie i dlaczego je zrobił, do ich interpretacji zawsze można użyć własnej wrażliwości. Ale w tym przypadku to wcale niełatwe. Zwłaszcza jeśli jest się kobietą i z bohaterką zdjęcia próbuje się współodczuwać. W głowie Henrike mieszają się wstręt i pytania: Co to jest właściwie? Jak o tym myśleć?

I najważniejsze: Dlaczego te kobiety się uśmiechają?

Szukamy odpowiedzi. Ulrich Prehn: - Zdjęcie może nas okłamać. Może pokazać tylko fragment jakiejś historii, nie opowiada jej do końca. Nie wiemy, co się dzieje z Cygankami, gdy żołnierz odkłada aparat. Czy sytuacja nie ma jakiejś tragicznej kontynuacji. Bo z pewnością nie są to uśmiechy wyreżyserowane. Może żołnierze je czymś przekupili? A może uśmiechają się, bo tak się przyjęło, że do zdjęcia należy się uśmiechnąć?

Od samego kadru zdecydowanie bardziej ciekawi badacza to, co znajduje się na obrzeżach fotografii. - Czasem okazuje się, że zdjęcie jest ucięte, i wtedy zastanawiamy się: ktoś to zrobił celowo, a oryginalne zdjęcie było szersze? Czy w trakcie fotografowania uciął kadr z czystego przeoczenia? Ta „resztką rzeczywistości”, która przypadkiem znalazła się na zdjęciu, może nam powiedzieć najwięcej.

Tak jak tu, na kartoniku z trzema rozebranymi do pasa Cygankami. Na obrzeżach „ucięta” wzdłuż sylwetka pólnagiego żołnierza. Biały tors, bokserki.

Motyw nagości pojawia się na wielu wojennych zdjęciach z Cyganami. W zgoła innym kontekście: nagie dzieci, kobiety karmiące piersią. W grupach Romów wołoskich odkrywanie piersi nie jest już uznawane za tabu - kobiety nie mają problemu na przykład z karmieniem niemowląt przy gadziku. Widać to dobrze na fotografiach z Bałkanów, które przegląda Henrike Voigtländer.

Nagość u Cyganów reguluje romanipen. Kodeks zakłada, że od pasa w dół kobieta jest nieczysta. Może skalać mężczyznę uderzeniem spódnicą lub butem, pozwoleniem na całowanie się poniżej pasa. Jest nieczysta w czasie menstruacji, porodu i tuż po nim. O atrakcyjności czy seksualności kobiety nie wolno otwarcie rozmawiać, a kobiecość nie powinna być eksponowana. A jednak od pasa w górę kobieta jest czysta.

Czy można zatem zaryzykować, że odsłonięcie piersi - naiwny udział w zuchwalej zabawie żołnierzy - było wówczas do przyjęcia? - Trudno powiedzieć, co sami Cyganie o tym wtedy myśleli. Czy odsłonięcie piersi przez Cygankę było w poszczególnych grupach czymś obraźliwym? Kultura cygańska jest głównie kulturą mówioną, nie pisaną, więc trudno teraz dotrzeć do jakichś źródeł z tamtego okresu. Rzadko zdarza się, by takie informacje udało się uzyskać od samych Cyganów - mówi Ulrich Prehn.

Pytanie o genezę zdjęć wysyłam do kilku romskich organizacji. Odpowiada jedna z nich, ale do spotkania nie dochodzi.

Cyganie milczą. Wokół ich milczenia świat buduje stereotypy. Historia pokazuje, jak bardzo niebezpieczne.

Milczenie

Na twarzy profesora Wolfganga Wippermanna z Friedrich-Meinecke-Institut przy Wolnym Uniwersytecie Berlina (Freie Universität Berlin) maluje się konsternacja, gdy przychodzi z zapowiedzianą wizytą. Tematem Romów, Sinti i antycyganizmu profesor zajmuje się od 30 lat. Słynie w Niemczech z kontrowersyjnych tez wokół historii ideologii, a w artykułach prasowych raz po raz przypomina się, że jego ojciec był w SS Hauptsturmführerem.

Gdy pytam o pólnagie Cyganki ze zdjęć, marszczy czoło. Trudno to wyjaśnić, jeszcze trudniej zrozumieć. Czasami nie warto drążyć - uważa profesor. Na pewno nie kosztem tych, którzy przeżyli koszmar. Nie kosztem Cyganek. I radzi, by za dużo o to nie pytać.

Dlaczego?

Bo cygańskie tabu zobowiązuje do milczenia. Na przykład milczenia o puffach - domach publicznych w obozach koncentracyjnych.

Od 1942 roku z puffów mogli korzystać więźniowie w ramach systemu premii, który miał podnosić wydajność pracy. Pomysłodawcą był sam Heinrich Himmler: najlepszym obiecywał na przykład dodatkowe racje żywności, papierosy, większą częstotliwość wymiany listów. I piętnastominutowe sam na sam z obozowymi prostytutkami. Do puffów rekrutowano więźniarki - Niemki, Polki, Ukrainki, Białorusinki. Nigdy nie przyjmowano Żydówek. - Z dokumentów wiemy, że z obozu Ravensbrück werbowano też Cyganki. Zasiłały potem puffy w innych obozach koncentracyjnych - mówi profesor Wippermann.

Nie tylko puff był dla Cyganek piekłem obozu. Sterylizacja i przymusowe aborcje. Eksperymenty Mengelego. Całkowite pogwałcenie obyczajowego tabu w codziennym obozowym życiu.

Po wojnie Cyganki zostały ze wspomnieniami same. Porajmos trwał nadal - tym razem w nich samych. Tabu i wstyd wymagały, by historię zamknąć w sobie. Nie jątrzyć, nie rozgrzebywać.

Profesor Wippermann: - Dziś ofiary milczą, nie mówi się na ten temat, bo dla pruderyjnych Cyganów to wielka obraza. Prawda, istnieje wiele stereotypów dotyczących Cyganów: że żebrzą na ulicach, że kradną - ale ten wciąż żywy, że Cyganki to prostytutki, jest dla Cyganów najgorszy z możliwych. Być może Cyganka uchroniłaby się przed obozową prostytutką, gdyby przedwojenny świat uprzedzeń nie zafundował jej wątpliwego tytułu: symbolu seksu.

Carmen

Z „Habanyry”:

Bo miłość to cygańskie dziecię. Ani mu nie ufaj, ani wierz Gdy gardzisz, kocham cię nad życie. Lecz gdy pokocham, to się strzeż.

Carmen - seksowna, zmysłowa Cyganka z noweli Prospera Merimée i opery Bizeta zawładnęła umysłami Niemców. Od prapremiery w 1875 roku „Carmen” odegrano na deskach paryskiej Opéra-Comique prawie trzy tysiące razy. Szybko przedostała się na sceny niemieckie i od razu podbiła serca publiczności. W 1888 roku Fryderyk Nietzsche w swoim „Przypadku Wagnera” przyznawał się do tego, że „Carmen” obejrzał dwadzieścia razy. Przeciwstawiał ją dziełom Ryszarda Wagnera, krytykując przy tym pupila narodowego socjalizmu. Interpretacja dramatu miłości pięknej Cyganki i sierżanta dragonów w wydaniu Nietzschego trafiła na podatny grunt ducha fin de siècle'u. „Wreszcie miłość, przełożona na powrót na język natury. Nie miłość »boskiej dziewicy«! Nic z sentymentalizmu! Lecz miłość jako fatum, jako fatalność, cyniczna, nie-winna, okrutna - jak natura! Miłość, która w swych środkach jest walką, u swej podstawy - śmiertelną walką płci”.

Profesor Wippermann: - Przed wojną pokutowały dwa mity kobiety cygańskiej: starej i brzydkiej - czarownicy oraz młodej i pięknej - Carmen. Mit tej drugiej znalazł odbicie w sztuce: częstym motywem obrazów stały się wizerunki Cyganki z odsłoniętymi, dużymi piersiami lub bardzo głębokim dekoltem. Był na tyle silny, że wdarł się do niemieckich sypialni: po wojnie te obrazy wisiały - a przypuszczam, że wciąż wiszą - w wielu szanujących się niemieckich domach! Zresztą obrazy z tym motywem do niedawna wciąż jeszcze można było kupić za bezcen w każdym Kaufhofie [popularnym niemieckim domu handlowym -red.].

Nazistowska propaganda bazowała na popularnych stereotypach. Cyganie - margines społeczny, kryminogenny, nieprzystający rasowo - byli jednocześnie symbolem rozwiązłości seksualnej. Ulrich Opfermann, historyk i współpracownik naukowy Centrum Dokumentacji Stowarzyszenia Romów w Kolonii, zwraca uwagę na mechanizm propagandy. - W dyskusjach o mniejszościach dużą rolę gra kategoria „widzialności”. Jeśli jakieś cechy, zwłaszcza te odbiegające od normy, uzasadniają zachowanie przypisane danej mniejszości są również podkreślone za pomocą jakiegoś medium, mniejszość zostaje dodatkowo zmarginalizowana i postawiona w opozycji do większości.

Jak zauważa profesor Wippermann, to stanowiło jedną ze znaczących różnic między antycyganizmem a antysemityzmem w III Rzeszy. - W antycyga-

nizmie dużą rolę grał stereotyp Carmen. Owszem, znamy literackie przedstawienia pięknych Żydówek, ale propaganda nazistowska ich nie zauważała. Piękna, seksowna Cyganka grała za to konkretną rolę w męskiej fantazji. Wkrótce za mit Carmen Cyganki zapłaciły wysoką cenę.

Tym bardziej fakt, że wojenne fotografie sprzedaje się teraz w internecie, wydaje się profesorowi Wippermannowi bezmyślny. Przykry. Oglądając te zdjęcia, można się wstydzić, że jest się mężczyzną, uważa profesor.

- Jest szansa na wyjaśnienie tajemnicy zdjęć półnagich Cyganek?

- Jest. Ale nie za wszelką cenę. W historii są pęknięcia, o których nie musimy wiedzieć wszystkiego.

Karolina Przewrocka

Współpraca Fundacja OPOWIEDZ TO – PICTURE THIS

